



**Konkurs Literacki dla
Poetów i Prozaików**

Prawdziwie
wielcy ludzie
wywołują w nas poczucie,
że sami możemy stać się
wielcy

Szanowni Państwo.

Drodzy Poeci, Pisarze i Czytelnicy

W związku z XXX Tygodniem Kultury Języka, którego tegorocznym hasłem było ***Czerp mądrość od autorytetów, ale ufaj sobie*** postanowiłyśmy zaprosić wszystkich uczniów szkół ponadpodstawowych do udziału w konkursie literackim dla poetów i prozaików ***Prawdziwie wielcy ludzie wywołują w nas poczucie, że sami możemy stać się wielcy...***

Jak zawsze, także i w dzisiejszym świecie, potrzeba nam inspiracji, wzorców, autorytetów...Szukamy ich w literaturze i wśród bliskich, odkrywając na nowo wartości i ideały.

Myślałyśmy o tym, by w tej trudnej codzienności szkolnej i nie tylko, młodzi ludzie poszukali światła w poezji, przemówili słowem, które trafi do naszych serc i pozwoli oderwać się na chwilę od rzeczywistości, a może spojrzeć na nią inaczej? Młodzież, jak zawsze, nie zawiodła- stworzyła w nadesłanych wierszach przestrzeń, wykreowaną za pomocą języka młodości (lub zaskakującej dojrzałości), dzięki której przypomnieliśmy sobie wszyscy, że sztuka, także, a może przede wszystkim sztuka poetycka, to niezwykle ważna dziedzina życia człowieka, pozwalająca mu na wyrażanie, porządkowanie i analizowanie swoich wrażeń, uczuć i spostrzeżeń dotyczących siebie, świata i ludzi. To poezja właśnie pozwala nam na tak potrzebną refleksję... o nas samych.

Okazało się również, że i proza może być świetnym lekarstwem na bólczki i trudy zmagania z codziennością. Twórcze rozwiązania formalne, zaskakujące nawiązania i aluzje czy fascynujące przygody literackich bohaterów opowiadań zachwyciły nas i wchłonęły na wiele godzin.

Dziękujemy Wam, Drodzy Poeci i Pisarze, za chwile uśmiechu i wzruszenia, zaskoczenia i fascynacji, towarzyszące nam podczas czytania Waszych wierszy i opowiadań. Czekamy na więcej za rok! Gratulujemy i życzymy Wam zadowolenia i poczucia spełnienia na dalszej twórczej drodze.

Organizatorki

Ewa Wojcieszewska i Agnieszka Bandura

I MIEJSCE W KATEGORII MAŁE FORMY PROZATORSKIE

Aleksandra Chrobot

I Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Kielcach

Mont Blanc

Było cicho. Aż zbyt cicho jak na centrum metropolii. Kordian nie był przyzwyczajony do takiej ciszy, bo zawsze wśród tłumu otaczały go hałasy innych ludzi. Tutaj, na dachu najwyższego budynku w mieście – ekskluzywnego wieżowca firmy Mont Blanc – słyszał jedynie wiatr, wpadający mu w uszy.

Mężczyzna spoglądał w dół na przejeżdżające pod jego stopami samochody. Były takie małe. Wszystko z tej perspektywy wydawało się takie odległe, tak nic nieznaczące. Przez chwilę delectował się uczuciem pustki, która go ogarnęła i zabrała jego wszystkie problemy, jednak po chwili wróciły do niego i uderzyły jak ciężarówka. Nie, nie było warto kontynuować tej marnej egzystencji.

Znów cofnął się myślami do swoich żalonych wspomnień. Nic od samego początku mu się nie udawało.

Kiedyś, w liceum, pokochał swoją nauczycielkę. Tak, może było to głupie, ale Laura wydawała mu się idealną. Czuł, że rozumieli się bez słów. Kobieta przyszła do jego klasy prosto po studiach i była w podobnym wieku, co Kordian. Gdyby tylko poznał ją poza szkołą, wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Dlatego postanowił trochę poczekać. Jednak nawet gdy przyszedł do niej już po dawno zdanej maturze, z dyplomem ukończonych studiów ekonomicznych, ona nadal nie potraktowała go poważnie. Czuł się upokorzony. Wyjechał jak najdalej od niej i próbował jakoś ułożyć sobie życie.

Minęło kilka lat i wydawało mu się, że teraz wszystko będzie już w porządku. Znalazł pracę w międzynarodowej firmie, a niedługo potem poznał kobietę – uroczą Włoszkę o imieniu Wioletta, która szybko została jego dziewczyną. Był szczęśliwy – miał pracę, która zapewniała mu dosyć dogodne życie i kobietę, która go kochała. A przynajmniej tak sądził.

Stracił pracę. Firma musiała zredukować koszty, przez co zaczęła zwalniać niektórych pracowników. Padło na niego i jeszcze jednego chłopaka. Jego konkurentem był objający się leń, któremu wysoko postawiony tatuś załatwił stanowisko. Firma wolą zwolnić Kordiana, który był oddany i pracowity, ponieważ bali się utraty sponsora. Mężczyzna nie mógł się z tym pogodzić, jednak nie mógł nic zrobić. Kiedy załamany wrócił do domu i poinformował o wszystkim Wiolette, kobieta, zamiast go pocieszyć i wesprzeć, oznajmiła, że boi się o swoją sytuację finansową i nie będzie mieszkać z bankrutem, po czym spakowała się i wyszła. Już więcej nie wróciła.

Z rozmyślań wyrwał Kordiana dźwięk otwieranych drzwi, który usłyszał zza pleców.

Zaskoczony mężczyzna zerknął w ich stronę. Zobaczył kobietę z papierosem w ręku, która stała w pobliżu wejścia na dach. Miała na sobie firmową plaketkę, więc Kordian stwierdził, że musi tu pracować.

— Wyszłam zapalić – oznajmiła nieznajoma, chociaż mężczyzna o nic ją nie pytał. Po chwili wyciągnęła paczkę papierosów w jego stronę – Chcesz jednego? - spytała.

Kordian zaprzeczył ruchem głowy. Kobieta wzruszyła ramionami, po czym podeszła do niego. Stała obok i spojrzała w dół.

— Ładny widok, nieprawdaż? - rzuciła niezobowiązująco.

— T-tak, wyjątkowo piękny... - odpowiedział zmieszany Kordian. Tak naprawdę nie powinien tu być i ona z pewnością to wiedziała, jednak nic nie mówiła.

Nieznajoma w milczeniu wpatrywała się w jadące pod nimi samochody. Mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył na nią, jednak potem również przeniósł wzrok ku ziemi. Smętnie wpatrywał się w nieokreślony punkt i wrócił znów myślami do samobójstwa. Irytowało go to, jednak w dalszym ciągu miał wątpliwości. Może nie powinien jeszcze się poddawać? Może powinien spróbować dalej żyć? Jednak wiedział, że dla niego nie było już nadziei. Wszyscy go zostawili. Nikogo by nawet nie

obeszła jego śmierć.

— Zdaję sobie sprawę, że życie czasem jest ciężkie – odezwała się nieznajoma - Nie będę udawać, że wiem, co przechodzisz, ale nie poddawaj się. Tak, może zabrzmie to żałośnie, ale nie

warto tego wszystkiego po prostu wyrzucać. Jeśli uważasz, że nie ma już dla ciebie nadziei i nie widzisz sensu swojego życia to podaruj je innym. Uczyni ich życie choć trochę lepszym. Poświęć się dla nich, a poczujesz się choć trochę lepiej.

Mówiąc to, kobieta odwróciła się w jego stronę i lekko się uśmiechnęła. Złapała Kordiana za rękę i pociągnęła go w stronę drzwi prowadzących do środka budynku. Nawet kiedy weszli już do środka, ona nie puściła jego dłoni, a kurczowo ją ścisnęła.

Mężczyzna był tak oszolomiony, że nie protestował i po prostu dał się jej prowadzić. Słowa nieznajomej mocno go uderzyły. Jeszcze bardziej jednak zszokowało go to, że się nim zainteresowała. Nie znał jej, ale ona go uratowała. Spotkał ją po raz pierwszy, a zrobiła dla niego więcej, niż ktokolwiek wcześniej. Dlatego postanowił, że będzie żył. Nadal gardził tym światem i wartościami, które nim kierują, jednak istniała dla niego nadzieja, że może znajdzie w końcu to, do czego został stworzony.

Minęło kilka lat od dnia, w którym próbował popełnić samobójstwo. Od tego czasu ani razu już nie pomyślał o śmierci. Tak – nadal cierpiał, ale starał się tym nie przejmować. Świat był zepsuty, okrutny i brutalny. Zdał sobie jednak sprawę, że jedynym sposobem, w jaki można było go uratować, było stworzenie wspólnoty, która akceptowałaby każdego. Wspólnoty, która nie opierałaby się na różnicach, a na tym, co łączy i która pomagałaby tym, którzy potrzebują wsparcia. Dlatego też całkowicie poświęcił się tej idei. Został działaczem społecznym – organizował motywacyjne przemówienia, zbiórki dla potrzebujących, a nawet założył własną fundację. Zdołał zgromadzić wokół siebie całkiem spore grono ludzi, którzy działali razem z nim, a jego aktywność stała się rozpoznawalna. Jednak sława go nie obchodziła. Chciał po prostu dać nieszczęśliwym ludziom pomoc. Taką, jaką on sam kiedyś otrzymał. Odnalazł w tym swoje powołanie, sens życia. Kordian jechał właśnie na jedno z przemówień swoim wysłużonym, lecz nadal dobrze działającym samochodem. W radiu leciała jedna z popularnych piosenek, którą mężczyzna podśpiewywał sobie pod nosem. Na drodze było wyjątkowo spokojnie, ale on i tak zachowywał jak największą ostrożność. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, był jakiś wyjątkowo zabiegany człowiek, który wybiegłby mu pod koła.

Co jakiś czas przejeżdżały obok niego samochody – nic nadzwyczajnego, był to normalny widok na ulicy. W pewnym momencie na przeciwległym pasie jednak spostrzegł ciężarówkę, która jechała zdecydowanie za szybko. Gdyby w coś lub w kogoś uderzyła, nie skończyłoby się to dobrze. Ciężarówka przybliżała się do Kordiana, który był przekonany, że normalnie go wyminie. Mężczyzna po krótkiej chwili jednak z przerażeniem stwierdził, że pojazd skręca prosto na niego. Kordian desperacko próbował przyspieszyć i jakoś ją wyminąć, jednak ciężarówka jechała ze zbyt dużą prędkością i nie mógł nic zrobić. W ułamku sekundy poczuł uderzenie, które było tak silne, że przewróciło jego samochód na bok. Do Kordiana nie zdążyło jeszcze dokładnie dotrzeć to, co się stało. W tej chwili czuł tylko ostry ból i słyszał szumy w uszach. Niedługo później znacznie osłabł, po czym stracił przytomność.

Gdy mężczyzna otworzył oczy, oślepiło go jasne światło. Przymknął powieki, by po krótkiej chwili je uchylić, przyzwyczajając się do blasku. Spróbował rozejrzeć się dookoła, jednak coś blokowało jego szyję. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że ma założony kołnierz ortopedyczny. Jego mózg jeszcze nie działał do końca poprawnie po wypadku, a rzeczywistość czasem wydawała mu się zamglona. Podejrzewał, że mogło mieć to również związek ze śpiączką farmakologiczną, z której lekarze wybudzili go niedługo wcześniej.

Nie pamiętał dokładnie wszystkiego, co usłyszał po przebudzeniu, ponieważ nie wszystko do niego dobrze docierało, jednak udało mu się zrozumieć, że wypadek, w którym brał udział, był dosyć poważny i spowodował spore obrażenia wewnętrzne w jego ciele. Podjęto decyzję o uśpieniu

dla jego bezpieczeństwa i w tym czasie wykonywano skomplikowane operacje. Na daną chwilę wszystko powinno być już pod kontrolą, jednak Kordian musiał przez jeszcze jakiś czas zostać w szpitalu na obserwacji.

Szczerze mówiąc, po ponownym przebudzeniu mężczyzna nie czuł się zbyt dobrze i co chwila kręciło mu się w głowie, jednak bał się z powrotem zamknąć oczy. Poza tym, ku swojemu zaskoczeniu, zauważył, że ma gościa.

Na krzeselku obok jego łóżka siedział starszy mężczyzna, który miał łokcie oparte o materac i dłonie złożone w geście modlitwy. Miał zamknięte oczy i szeptał słowa litanii, dlatego prawdopodobnie nie zauważył, że Kordian się obudził. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy pacjent poruszył ręką, wyciągając ją w jego stronę.

— Grzegorz... przyszedłeś do mnie – powiedział Kordian słabym głosem. Na widok starca szeroko się uśmiechnął.

— Kordianie... - Grzegorz nie był w stanie wykrztusić nic więcej. W jego gardle zebrala się gula, a oczy zaszyły łzami. Delikatnie chwycił dłoń mężczyzny, zachowując przy tym ogromną ostrożność, jednak nie był w stanie powstrzymać drżenia rąk. Kordian w jego dotyku był w stanie wyczuć buzujące emocje, które najwyraźniej targaly starcem.

— Tak się martwiłem... Już myślałem, że się nie wybudzisz, że... - odezwał się po chwili Grzegorz. – Mówili mi, że wszystko będzie dobrze, bo to śpiączka farmakologiczna, a nie patologiczna i że mają wszystko pod kontrolą, ale oni zawsze tak mówią. A kiedy już cię wybudzili, nie pozwolili mi się z tobą od razu zobaczyć. Umierałem ze strachu, czekając pod salą. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wszystko się udało.

Kordian był szczęśliwy. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że był na świecie ktoś, komu na nim zależy. Kto o niego dba, na kim może polegać i kto go kocha. Mężczyzna nie mógł sobie wybaczyć, że był tak egoistyczny, tak zaferowany sobą, że wcześniej tego nie dostrzegal. Grzegorz był z nim od początku. Był przyjacielem jego ojca, z którym dzielił mieszkanie za jedną trzecią czynszu. Nie był właściwie w żaden sposób związany z Kordianem, a jednak praktycznie to on go wychował. Był dla niego rodziną bardziej niż jego prawdziwi rodzice, których syn tak naprawdę nigdy nie obchodził. Tak desperacko szukał zrozumienia, akceptacji, miłości, a osoba, która obdarzyła go tym wszystkim, była tuż obok niego.

— Dziękuję ci – przerwał milczenie Kordian. Uśmiechnął się, a do jego oczu mimowolnie napłynęły łzy. – Byłem okropny i niewdzięczny, a Ty mnie nie zostawiłeś. Byłeś dla mnie taki dobry, a ja nigdy ci się nie odwdzieczyłem. Przepraszam. Nie jestem wart ani jednej twojej...

— Przestań – przerwał mu Grzegorz stanowczym tonem. – Nie mów tak. Jesteś jednym z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. W końcu nie każdy potrafiłby poświęcić swoje życie, aby pomagać innym. Jestem z ciebie dumny. Nie jesteś i nigdy nie byłeś okropny, a ja nie żałuję ani jednej chwili, którą ci poświęciłem.

Mówiąc to, Grzegorz uśmiechnął się. Po chwili jednak odwrócił głowę i zagryzł wargi. Widać było, że coś go męczy. Kiedy Kordian miał już pytać, o co chodzi, mężczyzna ścisnął jego dłoń i z goryczą w głosie stwierdził:

— Jak można chcieć pozbawić życia kogoś tak cudownego jak ty? Pomagasz tylu osobom, poświęcasz się dla innych kosztem swojego czasu i zdrowia. Naprawdę, jesteś wyjątkowy. Dlaczego ktokolwiek chciałby podnieść na ciebie rękę? Ten cały Mikołaj R. musi serio mieć coś nie tak w głowie.

Słyszając to, Kordian położył drugą rękę na dłoniach Grzegorza, dając mu głową znak, aby przestał. Starzec, widząc to, trochę się uspokoił i wyciszył.

— Jestem człowiekiem jak każdy. Wcale nie jestem żadnym świętym, po prostu pomagam tym, którzy mieli mniej szczęścia ode mnie. Proszę, nie wyolbrzymiaj moich zasług, bo wcale na to nie zasługuję.

Grzegorz chciał mu przerwać, jednak w ostatniej chwili zreflektował się i w ciszy pozwolił mu kontynuować.

— Ja także kiedyś otrzymałem pomoc. Gdyby nie ona, dawno już by mnie tu nie było. Nie umiałem się odnaleźć, ten świat mnie przytłaczał. Byłem gotowy się od niego uwolnić, jednak

wtedy ujrzałem światło w postaci zwykłej dziewczyny, która zupełnie przypadkowo znalazła się obok. Światło to mówiło mi, abym poświęcił się dla innych. Znalazłem w tej myśli sens. Nie miałem już kompletnie nic do stracenia, więc rzuciłem się na głęboką wodę. Nie jestem dumny z tego okresu w moim życiu i nie lubię o nim mówić, ale jestem wdzięczny, że mogłem tego wszystkiego doświadczyć, bo dzięki temu znalazłem swoje miejsce na Ziemi i mogę pomóc tym, którzy może są w podobnej sytuacji, co ja wtedy – mówiąc to, Kordian roześmiał się. – Nie wiem

po co Ci to mówię, ale dobrze jest w końcu to z siebie wyrzucić.

Po krótkiej chwili ciszy mężczyzna znów się uśmiechnął, po czym ponownie zabrał głos:

— Dobrze, dosyć już o mnie. Chciałbym teraz usłyszeć coś o tobie. Powiedz, co tam u ciebie? Spotkało cię ostatnio coś milego?

Grzegorz spuścił wzrok, po czym delikatnie się zaśmiał.

— Jest taka jedna rzecz... - powiedział starzec z uśmiechem. – Bo wiesz, mojemu synowi kilka dni temu urodził się chłopczyk. Byłem przedwczoraj go zobaczyć. Jest przeuroczy, taki malutki...

— To wspaniała wiadomość! - ucieszył się mężczyzna – Moje gratulacje! Mogę spytać jak ma na imię?

— Mój syn z żoną wspólnie wybrali dla niego imię Kordian – odpowiedział Grzegorz. – Oboje cię podziwiają, zresztą tak samo jak ja. Prawdę mówiąc, w pewnym momencie życia moja synowa była niemilosierdzie chora i udało się jej przeżyć tylko dzięki zbiorce, którą zorganizowałeś.

Jesteśmy wszyscy ci za to dożgonnie wdzięczni. Dlatego oni bardzo pragną cię poznać. Prosimy, żebyś odwiedził ich, kiedy tylko wyjdiesz ze szpitala. Chcieliby też, abyś został ojcem chrzestnym dziecka.

— T...to zaszczyt, nie wiem, co mam powiedzieć – odezwał się Kordian ze łzami wzruszenia w oczach. Nie był w stanie uwierzyć, że spotyka go takie szczęście. Nigdy nie przypuszczałby, że coś takiego może się zdarzyć właśnie jemu.

Mężczyzna wyciągnął ręce do Grzegorza na znak, aby ten się do niego przybliżył. Starzec, widząc to, natychmiast nachylił się w stronę pacjenta. Kiedy znalazł się w jego zasięgu, Kordian objął go z czułością, na co Grzegorz odpowiedział tym samym.

Tak dawno nie czuł takiego czulego, ludzkiego ciepła. Było bardzo przyjemne. Było idealne.

Wszystko takie było. Kordian nie mógł sobie zażyczyć niczego więcej. Nareszcie czuł się całkowicie spełniony. Ta chwila była warta wszystkich trudów, całego cierpienia, które go spotkało. W tym momencie nie żałował kompletnie niczego.

Kiedy tak siedział przytulony, ból głowy zaczął się wzmagać. Jednak mężczyzna nic sobie z tego nie robił. Ten moment był zbyt piękny, żeby miał go przerwać. Jeśli nadszedł na niego czas, to trudno. To była najpiękniejsza śmierć, jaką był w stanie sobie wyobrazić.

Obraz przed jego oczami zaczynał się rozmazywać, stawał się mętny. Kordian powoli opadał z sił. Czuł, że niedługo nadejdzie koniec. Dopóki jeszcze mógł, nachylił się do ucha Grzegorza i szepnął:

— Dziękuję za wszystko. Pozdrów ode mnie swoją rodzinę. Bądź zdrow... ojczy.

Po tych słowach uśmiechnął się resztkami sił i oparł plecy o łóżko. Niewiele widział, a dźwięki były przytłumione, jednak udało mu się jeszcze zobaczyć przerażonego Grzegorza, który nerwowo potrząsał jego ręką i głośno wołał jego imię, a z dala dochodziły do niego głosy pielęgniarek, które w panice krzyczały coś o obniżającym się tętnie, reanimacji i desperacko domagały się defibrylatora.

Chwilę później nie widział już nic oprócz niewyraźnych plam. Jego powieki stały się ciężkie i same się zamykały. Kordian nie był w stanie tego powstrzymać, jednak nie można było powiedzieć, żeby specjalnie chciał. Po prostu poddał się temu, co się z nim działo. Później była tylko ciemność, z której po chwili wylonilo się jasne, oślepiające światło. Tak, to było piękne życie.

II MIEJSCE W KATEGORII MAŁE FORMY PROZATORSKIE

Patrycja Pietrasik

VI Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego w Kielcach

Apokalipsa

Stałam na skale, obserwując ludzi niebędących ludźmi. Unosili się ponad ziemią, z każdą sekundą coraz wyżej i wyżej. Unosili się przyciągani przeciwną siłą do grawitacji. Tylko ja ich obserwowałam. Tylko ja ich widziałam. Inni ludzie żyli i zachowywali się tak, jak gdyby siedem osób – kobiety i mężczyźni ze złotą poświatą na plecach do złudzenia przypominającą skrzydła, nie znajdowało się nad nimi i nie unosiło do ust ogromnych, złotych trąb. Patrzyłam z przestachem jak pierwszy z nich nabiera powietrza. Niebo za nim zaczęło płonąć, karmazynowe chmury pożerały błękit, okrywając świat czerwoną poświatą. Ludzie zaczęli krzyczeć, patrząc w niebo z przerażeniem i niezrozumieniem.

Mimo że widzieli skutki poczynań aniołów, to nie widzieli ich samych. Nie widzieli przyczyn tych zjawisk. Inni patrzyli na nich jak na szaleńców, bo nadal nie widzieli tego, co oni. Tego co ja. Byli ślepi.

Pierwszy anioł zatrąbił. Dźwięk był głośny, wstrząsający całym jestestwem, ale trwał chwilę. Jednak jego echo poruszało kości, skręcało wnętrzości, mąciło myśli, gdy przez świat przetoczył się grzmot, a niebo zaczęło płakać gradem ognia i czerwonym deszczem. Nie, nie deszczem. Krwią. Karmazynową, ciepłą cieczą. Czulałam ją na twarzy, na ciele. Jej metaliczny zapach drażnił nozdrza. Odczuwałam dotyk płomieni, które nie robiły mi krzywdy, były bardziej jak promyki słońca. Ale świat cierpiał. Płonął. Drzewa i trawy czerniały, by potem zamienić się w popiół i niesione przez wiatr na zawsze zniknąć. Ludzie krzyczeli, próbując uciec. Teraz krzyczeli już wszyscy. Bo, mimo że niektórzy nie widzieli tego koszmaru, to czuli jego jadowite skutki.

I z kolejnej trąby wydobył się dźwięk. Przymknęłam oczy, gdy przez morze przetoczyła się fala ognia, zabijając i niszcząc wszystko na swojej drodze. Woda zaczęła zmieniać kolor z błękitnego przez czarny aż po krwistą czerwień. Wszystko działo się szybko, zdecydowanie za szybko i zbyt gwałtownie. Następne trąby rozbrzmiewały, a świat umierał. Rzeki wysychały. Ludzie ginęli od dotyku wód, gorąca ognia, huku wybuchających gwiazd. Przez niebo przeleciał ogromny orzeł, a jego krzyk rozniósł się na całą ziemię, docierał do każdego ucha, pustoszył każdy umysł. Ptak zmienił trajektorię lotu i zanurkował w morską toń, znikając mi z oczu. Nie powrócił na powierzchnię.

Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam się odezwać. Po prostu stałam na klifie, obserwując wszystko z góry. Stałam tam ubrudzona krwią, oblepiona popiołem, ogłuszona

2

chaosem. Nawet nie zauważyłam, gdy morze się rozstało, a z jego dna wyszła czarna chmura szarańczy. Zaczęła ona atakować niektórych ludzi, innych pozostawiając w spokoju. Jedynych zabijała od razu, innych omijała szerokim łukiem. Nie rozumiałam tego.

Nie potrafiłam rozszyfrować systemu zabijania tej kanalii.

I nagle wszystko ucichło jak za dotknięciem magicznej różdżki. Słyszałam tylko bicie własnego serca. Zamilkły krzyki, jęki i szlochy. Niebo się uspokoiło, przyjmując barwę czerwieni, gdzieś tam ozdobionej onyksowymi chmurami. Trąby nie trąbiły. Krew nie spadała z nieba, ogień nie pożerał wszystkiego co napotkał, a szarańcza odsunęła się od ludzi. I w tej ciszy trwającej sekundy, trwającej całe wieki poniósł się głos. Ni to męski, ni to kobiecy. Nie młody, ale nie stary. Chropowaty jak skała, lecz delikatny jak jedwab.

Po prostu... pradawny, potężny głos: „Przyjdź!”

I ujrzałam.

Z nicości zaczął powstawać kształt. Straciłam oddech zupełnie, jakby ktoś ścisnął mi płuca, wyssał z nich całe powietrze i wtedy zobaczyłam. Jeździec dosiadający białego konia o lśniącej sierści dumnie wypinał pierś, siedząc w siodle. Twarz skrywał pod złotym wieńcem, a w dłoni trzymał ogromny luk. Tysiące strzał spoczywało w kołczanie

przytroczonym do siodła. Wyglądał jak ktoś pewny zwycięstwa. I właśnie z taką postawą ruszył w świat, krzycząc jak wojownik ruszający do boju. Jak żołnierz ruszający na wojnę. I po raz kolejny głos przemówił: „Przyjdź!”, Zadrżałam, a może to ziemia drżała pode mną. I ujrzałam.

Powietrze się zakotłowało. Do moich nozdrzy dotarł ostry, nieprzyjemny zapach stali. Koń o maści do złudzenia przypominającej płomienie pojawił się tak samo jak jego poprzednik, roztaczając wokół lekką, czerwoną poświatę. Na jego grzbiecie zasiadał jeździec ubrany w czarną zbroję niczym średniowieczny rycerz. Twarz ukrył za hełmem w kształcie paszczy lwa. W dłoni dzierżył ogromną klingę. Miecz był srebrny i lśnił w poświacie zniszczenia. Ostrze zostało wycelowane w ludzi, w świat na dole. I koń z dzikim rżeniem ruszył na wojnę. „Przyjdź!”, Głos ponownie przemówił.

I ujrzałam.

Tym razem z otchłani wyłonił się rumak ciemniejszy niż ciemność, mroczniejszy niż mrok. Wszystkie włoski na moim ciele stanęły dęba, gdy ujrzałam jeźdźca o twarzy

3

przepasanej białą wstęgą, a rysach rozmytych jakbym patrzyła na niego przez mgłę. W dłoni trzymał wagę. Wśród dźwięków chaosu dało się słyszeć głośnie szepty, ciche krzyki powtarzające raz za raz jakieś słowa. Nie rozumiałam ich. Były zbyt płynne, zlewały się ze sobą jak krople wody w strumieniu i nie sposób było ich rozróżnić. Jeszcze echo tych słów nie ucichło, a pradawny głos krzyknął: „Przyjdź!”,

I ujrzałam.

Powietrze stało się przeraźliwie zimne, każdy oddech zamieniał się w obłok pary, okalając moją twarz pióropuszem siwego dymu. Krew, którą byłam pokryta, zaczęła zamarzać i ostre kryształki lodu wbijały się w moją skórę. Kończyny zaczynały drętwieć, a na rękach zakwitł szron. Pojawił się kolejny jeździec. Był inny od reszty. Gorszy. Straszniejszy. Niebezpieczniejszy i z całą pewnością okrutniejszy. Siedział na koniu trupio bladym, któremu skóra opinała się na ostrych kościach. Bliżej mu było do szkieletu niż zdrowego konia. A jednak hardo trzymał leb. Z jego nozdrzy wydobywał się dym, a oczy koloru świeżej krwi obserwowały świat z żądzą. Żądzą mordy. Budził grozę w najczystszej postaci. Jeździec wyglądał natomiast jak potwór z legend. Okryty czarną peleryną siedział w siodle wyprostowany jak król na tronie i mogłabym przysiąc, że w cieniu kaptura dostrzegłam uśmiech. Przerazająco piękny uśmiech. W smukłej dłoni trzymał miecz. Czarną klingę znaczoną tysiącletnimi walk, milionami śmierci. Za nim, niczym cichy kompan, stary, dobry przyjaciel, unosiła się ciemność. Namacalny, żywy mrok. Patrząc na niego nie czułam nic dobrego. Wpatrując się w niego zrozumiałam, że on również patrzył we mnie. Tworzył koszmary w mojej głowie. Uwydatniał i potęgował lęki. Łzy zaczęły niekontrolowanie spływać po mojej twarzy, tworząc ścieżki w krwi, a ja dalej patrzyłam. Zagłębiałam w mrok, który zagłębiał we mnie. Zgłębiałam jego tajemnice w tym samym czasie, kiedy on zgłębiał moje. I wtedy koń ruszył galopem, by pustoszyć ziemię, by zabijać, niosąc na swoim grzbiecie samą śmierć. Ścieżka, którą podążali, znaczone była bólem, zniszczeniem i śmiercią. Żaden człowiek nie przeżył spotkania z nimi. Żaden nie umarł szybko. Żaden nie umarł bezboleśnie.

Ziemia pod moimi stopami niebezpiecznie się zatrzęsała, a ja upadając uderzyłam głową o skały. Moje oczy patrzyły jak chmury się rozstępują, ukazując czarne, spalone słońce i karmazynowy niczym znaczone krwią księżyc zmierzające ku sobie. Ich zderzeniu towarzyszył niewyobrażanie głośny huk. Wstałam z trudem, chcąc uciec, uwolnić się od tego widoku, od tej tragedii i zniszczenia. Jednak nadal nie miałam kontroli nad własnym ciałem.

4

Krzyczałam z całych sił, uderzając w bramy mojego umysłu. Jednakże moje usta pozostawały zamknięte, a stopy stały w miejscu. Miałam dość. Chciałam dołączyć do ludzi uciekających do wnętrza gór. Nie wiem kim byli, może bezdomnymi, a może bogaczami, może dziećmi, a może ludźmi starszymi. Nie obchodziło mnie to, bo liczyło się tylko to, że nie byli mną. Byli jednak głupi. Chowali się do wnętrza gór, kruchych skał, które niebezpiecznie się trzęsły. Chciałam krzyczeć, gdy góry jedne po drugich zawały się, zamykając ich w swoim wnętrzu

i zabijając zanim dosięgnie ich śmierć z ręki jeźdźców. I wtedy zrozumiałam.

Gdy znad zgliszczy unosił się duszący pył, zrozumiałam, że oni wiedzieli. Doskonale zdawali sobie sprawę, że zginą. Mimo to tam weszli, by umrzeć w sposób, jaki wybiorą sami, a nie tak, jak zdecydują jeźdźcy. Tak strasznie pragnęłam nimi być. Pragnęłam mieć wybór. Ale nimi nie byłam. Nie miałam wyboru. Mogłam jedynie stać, oglądać to wszystko i walczyć z własnym ciałem. Stanąć do walki z moim umysłem, choć wiedziałam, nie wiedząc skąd wiem, że była to walka z góry przegrana.

Klif, na którym stałam zaczął kruszeć. Był to moment największego szczęścia w całym moim życiu. W tym momencie śmierć była jedyną rzeczą, której pragnęłam. Jedyną, o której marzyłam. Jakże głupia byłam, myśląc, że przyjdzie ona szybko. Jakże naiwna byłam, myśląc, że będzie ona bezbolesna. Bo śmierć nie przyszła szybko, nie była też bezbolesna. Trwała wieki, a ból, którego wcześniej nie odczuwałam, na który byłam odporna, zaatakował mnie ze zdwojoną siłą. Każdy nerw, każda kość, każdy skrawek skóry, każdy oddech bolał. Tak niewyobrażalnie bolał. Przeżywałam katusze, spadając w dół. W końcu odzyskałam kontrolę nad swoim ciałem, ale była tylko jedna rzecz, którą mogłam zrobić. Jedyna, która mi pozostała. Zaczęłam krzyczeć. Wrzeszczeć z całych sił jakie mi pozostały, kiedy niewidzialny ogień parzył mi ciało, kiedy niewidzialne szpony rozrywały mi wnętrzności, kiedy niewidzialne ostrza nacinały mi skórę. Ból ten był nie do opisania. Czułam, jakbym to ja była bólem, nie istotą zbudowaną z krwi i kości, a najprawdziwszym oraz najgłębszym bólem.

Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że nadal wszystko widziałam.

Obserwowałam, jak czterech jeźdźców pustoszy ziemię. Jak każdy człowiek, każde stworzenie i każda rośliność umiera. Patrzyłam, jak świat znika, rozplywa się w nicość. A ja dalej trwam w agonii.

Byłam świadkiem końca. Widzem apokalipsy. Częścią dokonania się przepowiedni.

5

Jeździec będący śmiercią odszukał mnie wzrokiem i ruszył w moją stronę. Ostatnim, co poczułam zanim moje serce przestało bić, było ostrze wrzynające się w skórę, łamiące kości, przecinające duszę, lecz mimo że było to niewyobrażanie bolesne, to przyniosło mi swego rodzaju ulgę. Ulgę, że koniec tych katuszy jest blisko. Z mojego gardła wydobył się przeraźliwy wrzask, raniąc moje gardło do krwi, gdy klinga zatrważająco powoli zatapiała się głębiej w ciało, aż przeszła na wylot, aż rękojeść dotknęła mojej klatki piersiowej. Mój krzyk ustał, lzy przestały lecieć, a umysł wypełniła błoga cisza. Ostatnim, co zobaczyłam, była twarz. Niewiarygodnie piękna twarz mężczyzny, który wyświadczył mi przysługę odebrania mi życia, zakończenia moich tortur. Przez mój umysł w jednej sekundzie przemknęła myśl, że to niemożliwe, by ktoś tak piękny zadawał taki ból. To nie możliwe, by śmierć nosiła tak idealną twarz. Niemożliwe by...

Umarłam, dołączając do reszty świata. Zniknęłam tak jak wszyscy i wszystko.

Zostałam zapomniana, choć moim zadaniem było pamiętać. Moim zadaniem było pamiętać koniec, pamiętać Apokalipsę, choć nikt nie zapamięta mnie. Wiedziałam, czułam w głębi duszy, że już nigdy nie pozbędę się obrazów dzisiejszego dnia, wiedziałam również, że już nigdy nie będzie mi dane chodzić po tak pięknym świecie, który w tak okrutny sposób został zniszczony.

III MIEJSCE W KATEGORII MAŁE FORMY PROZATORSKIE

Gabriela Handzelewicz

VI Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego w Kielcach.

Decyzje i pomyłki

Jan usadowił się wygodniej w siodle z twarzą pełną zadumy. Na samo wspomnienie Heleny krew w nim wrzała i zdawać by się mogło, że owa miłość, która jeszcze niedawno płonęła w tym małżeństwie, nagle wygasła jak wulkan po erupcji. Albo może wygasła tylko w naszym Janie, którego słowa Heleny tak mocno w serce ugodziły? Może i wygasła tylko u Heleny, która obrażona na świat cały stała w oknie dworku swego męża i ze wzrokiem pełnym gniewu patrzyła na bramę, przez którą jej małżonek wyjechał bronić Ojczyzny. Cóż jej było po Ojczyźnie, skoro jej Jana przy niej nie było? Ojciec jej był rycerzem odkąd sięgała pamięcią, więc matka jej sama lata spędziła w zamku. Nie chciała podzielić jej smutnego losu i umierać w otoczeniu dzieci - bez męża przy boku, bo ten wtedy szablą na Turków machał.

Więc nie. W Helenie miłość nie wygasła. W Helenie miłość z pięknego labędzia przeobraziła się w krwiożerczego smoka. Bo może to już nie była miłość? Może nie miłość. Może chorobliwa zazdrość.

Może tak. Może.

Husarz nie rozumiał, o co głupio sam siebie winił, postępowania swej młodej małżonki. Wszak wiedziała kogo za męża bierze, husarza w stopniu porucznika a nie jakiegoś byle szlachcica z pospolitego ruszenia. Należy się obowiązki swe wypełniać, tym bardziej, że Ojczyzna jest w potrzebie - myślał szlachcic Skrzetuski. Westchnął ciężko, kiedy oddział jego wjechał do małej miejscowości, której nazwa nikomu znana nie była. A może ją znali, ale nie uważali, że wiedzą tą należy posilić zatroskaną już głowę swego wojennego kamrata? Wszyscy znali Helenę Skrzetuską z domu Kurcewiczównę, której sławnego ojca – Wasyla Kurcewicza do stanu żywej legendy wniesiono. Znali ją i jej charakter nikomu do smaku nie przypadł.

Niektórzy nawet jawnie odradzali Janowi tego małżeństwa. Jedną z tych osób był wierny jego przyjaciel.

Ile się biedny Aleksander natrudził, tłumacząc Janowi, że Helenę powinien puścić w zapomnienie i poślubić zakochaną w nim na zabój pannę Anusię Borzobohatą. Czcze było jego gadanie! Nic nie poradził szlachcic Nagórski, kiedy miłość zaślepiała jego przyjaciela raz a dobrze.

Dlatego wtedy, kiedy wjeżdżali do tej małej miejscowości, Aleksander uśmiechnął się kpiąco:

- Gdybym ci był jeszcze nie tłumaczył, czym małżeństwo z młodą Kurcewiczówną jest, to bym cię pożałował. Ale, żem ja ci mówił, to nie żał mi ciebie ani krzty - rzekł Nagórski.

Jan zaś westchnął, opuszczając dłoń z wodzami na przedni łęk. - Okazałbyś choć trochę współczucia.

- Powiem prosto, a wymownie - świadom byleś kogo za żonę mieć będziesz - Aleksander wzruszył ramionami.

Kiedy zbliżyli się dość do rynku miasteczka, dobiegł ich hałas wścieklej grupy tłuszczy. Jan zmarszczył czoło i zebrał wodzę. Nie oglądając się za siebie, pognął do źródła zamieszania. Coś go tam pchało, coś ciągnęło. Koń sam rwał się do szybszego kroku, jakby tam miała się objawić sama prawda boska. Jakby tam Jan miał poznać swój sens. Bo i miał. Ale on o tym nie wiedział, dlatego gnał, by się przekonać.

Zjawiwszy się na rynku, zatrzymał konia, który uderzył mocno przednimi kopytami o piach. Mieszczanie zwrócili się w jego kierunku. Ujrzawszy królewskiego rycerza, z radością się ku niemu zwrócili. Łapali go za strzemiona i ciągnęli ku sobie:

- Panie! Panie! Buntownik w mieście! - krzyczeli, a ich głosy zlewały się w nic nieznaczący hałas.

Jan zeskoczył ze swego ogiera. Rękojeścią szabli utorował sobie drogę do związanego mężczyzny, który leżał zakrwawiony na miastowym rynku. Ukłękł przy nim, lekko ujmując jego twarz w dłonie.

Kiedy ujrzał jego oblicze, serce w nim zamarło. Poczul jak gorąc go zalewa, patrząc w te czarne oczy.

Poznał od razu, że to Kozak. Po stroju i wyglądzie. Czarne włosy obcięte w żabki ładnie spadały mu na czoło, lecz przydługie wpadały mu do oczu. Mężczyzna płakał, choć nie wiedział nasz husarz czy z bólu czy z wizji możliwej śmierci. Wyglądał ów syn stepów jak pewien Kozak, który przed laty był jego rywalem w wojnie o serce boskiej Heleny. Jak bardzo ubolewał nad swym geniuszem wojennym, który nie pozwolił mu i tej wojny przegrać. Usta miał związane chustą.

Jan zaraz ją zerwał i unosił lekko jego głowę. Z czułością sobie wcześniej nieznaną odgarnął niesforne, zakrwawione kosmyki włosów Kozaka:

- Mów, ktoś ty - powiedział łagodnie szlachcic. Choć był to mężczyzna, którego znał z lat młodości, to chciał upewnić się.

- Jurij Bohun z rejestru perejasławskiego – wyszeptał.

- Czy ty jest jeszcze żywy czy to już duch twój? - szepnęła.

- Gdzieżby duch, w takim stanie? - zaśmiał się, lecz bez radości. Po chwili zaś stęknął z bólu. Jan przyciągnął go mocniej do siebie.

- Dlaczego cię pojмали? - spytał, wsuwając palce we włosy mężczyzny z tyłu jego głowy.

- Jechałem do księcia Jaremy, uznali, że podążam za Chmielnickim. Przysięgam na Boga, że jadę do Jaremy! - jęknął kolejny raz. Zaciśnął zęby i oparł głowę na rękę husarza.

- Ty? Do Jaremy? A po cóż ty do księcia Wiśniowieckiego ciągniesz? - Skrzetuski zmarszczył brwi.

- Źle jest w obozie Chmielnickiego. Po co ja tam? Uciekłem do niego... Po Rozłogach, żeby mnie Laszki jak ty na pal nie wbily. Teraz... Kiedy Helena z tobą... Nie mam już po co dalej walczyć, ukrywać się i żyć... - oczy Jurija były dziwnie puste.

Kiedy cicha wojna Jana i Jurija trwała, oczy Kozaka były zawsze pełne tej szalonej fantazji. Pełne gorącego i wiecznego żywego uczucia, którym całkowicie obdarzył ślepą i nieczułą na nie Helenę. Gdy owa szlachcianka z okrutną obojętnością odnosiła się do tego biednego mężczyzny, to żal jego robiło się samemu Skrzetuskiemu. Bo gdyby jego to spotkało, ta straszliwa obojętność, nie byłby tak cierpliwy jak Jurij. Nie byłby tak wierny jak Jurij.

Jan szybko rozwiązał Kozaka. Uniósł go lekko. Jurij, wymęczony przez mieszczan, oparł głowę na jego klatce piersiowej. Oddychał nierówno.

Serce Polaka aż ścisnęło się z bólu. Nie mógł pojąć jak ktoś mógł chcieć skrzywdzić tak bezbronną istotę. Coś było w tym mężczyźnie, co przyciągało go do niego. Podszedł do grupy zadziwionej tłuszczy mieszczańskiej, która zaczęła znowu się bezładnie przekrzykiwać.

Jan stanął przed nimi i przyciągnął bliżej siebie ciało mężczyzny, jakoby bał się, że ci ludzie po raz kolejny go porwą. Jakoby bał się, że wyrwą mu tego biednego Kozaka z rąk i dokończą swego dzieła. Na to zaś nasz Jan pozwolić nie mógł, choć sam nie mógł zrozumieć dlaczego. Nie wiedział, dlaczego nagle ten perejasławski Jurij ze śmiertelnego wroga stał się przyjacielem w potrzebie, a Jan gotów był stanąć dumnie przed gromadą mieszczan i bronić go przed ich złością, przed ich gniewem:

- On jest niewinny, sąd wasz był niesłuszny. Wezmę go ze sobą tam, gdzie zostanie wyleczony - rzekł i wyminąwszy tłum, ruszył do swoich ludzi.

- Czy to oznacza, że spotka nas gniew Jaremy? - spytał przerażony burmistrz miasteczka, wychodząc z tłumy.

- Osądzi was własne sumienie - rzekł przez ramię i ponownie zaczął podążać w wyznaczonym przez siebie kierunku.

Jurij poruszył się niespokojnie w ramionach Jana. W Polaku serce poruszyło się zaniepokojone.

Kiedy owego Kozaka po raz pierwszy zobaczył, poczuł się jak tamtego pamiętnego wieczoru, gdy zobaczył pierwszy raz Helenę. Choć okoliczności tych spotkań były całkiem różne. Zamiast surowej komnaty Rozłogów był piaskowy rynek małego miasteczka na drodze z Janowego Skrzetuszewa do obozowiska straszliwego Jaremy. Zamiast szykownych szat były zbroje i szable gotowe zaraz rzucić się w wir walki bratobójczej. Zamiast pustego zauroczenia była nowo rozkwitająca przyjaźń. Dziwną bliskość do tego Kozaka poczuł nasz Jan. Nagle Skrzetuski gotów był postawić Jurija obok swego przyjaciela Aleksandra na zasłużonym miejscu swej duszy. Czyżby to rana zadana przez tę samą kobietę jakąś bliskość w nich rozbudziła? Nie wiedział nasz Jan, lecz czy chciał poznać? Na pewno rzec można, że chciał mieć przy sobie tego dziwnego mężczyznę, który pojawił się znikąd na jego drodze.

Aleksander zeskoczył ze swojego konia i wyszedł na przeciw swego przyjaciela. Chciał pomóc mu nieść Kozaka, lecz Jan schował go szczelnie w swych ramionach. Nie chciał pozwolić, aby Bohun cierpiał jeszcze bardziej. On winny był jego dotychczasowych boleści i zmartwień. On winny był upadku potęgi tego syna Ukrainy. Chciał tą opieką odkupić swe ciężkie grzechy.

Spojrzał wtedy wzrokiem zbląkanym na zmieszanego Aleksandra:

- Czemuś go ocalił, Janie? - spytał.

- Zaniósę go, ty zaś każ przygotować powóz i niech się nim zajmie nasz cyrulik - powiedział, nie odpowiadając. Nie odpowiedział, bo sam nie wiedział, dlaczego go ocalił. Nie wiedział, po co w ogóle wmieszał się w sprawy tego miasteczka. Nie musiał wszak rozstrzygać o jego niewinności. Mógł przejechać ze swym oddziałem obok i pozostawić to wszystko tej tłuszczy, której obecność i wszędobylskość go przytłaczała. Lecz postąpił inaczej. Czemu? Sam nie wiedział. Tak chciał, a jeśli szlachcic Jan Skrzetuski herbu Jastrzębiec czegoś chce, to to robi.

Nagórski kiwnął głową i powrócił do oddziału. Kozakowi uszykowano powóz samego porucznika.

Ułożono posłanie ze skór zwierzęcych należących do Jana i to właśnie tam został Jurij złożony. Sam

porucznik zadbał o to, by mężczyzna był dobrze przygotowany do długiej drogi, która ich jeszcze czekała.

Husarz nie wrócił na swego konia. Usiadł przy ocalonym z rąk mieszczkańskich Kozaku i razem z nim oczekiwał cyrulika, który wówczas w mieście szukał ziół leczniczych.

Jurij podniósł wzrok na swego wybawcę. Był obolały, czuł że pali go każda kończyna. Wysiłał się jednak na ten gest i oblizal spierzchnięte usta:

- Czemuś mnie Waszmość ocalił? - spytał, a głos jego nie głośniejszy był od szeptu. Skrzetuski wysilił musiał się bardzo, żeby usłyszeć i zrozumieć jego słowa. - Po tym wszystkim, co uczyniłem...

Jan spojrzal na niego. Nie wiedział, jak ma mu odpowiedzieć, bo sam nie wiedział, czemu to uczynił. Coś mu kazalo, coś jak los. Może to wszechświat tak swe gwiazdy i planety ułożył, aby do ich ponownego spotkania doszło? Albo to sam Pan Bóg wyznaczył losy ich i splótł je ze sobą, niczym niewiasty plotą swe warkocze? Po raz kolejny Jan odgarnął czarne kosmyki włosów Bohuna z jego oczu:

- A i mnie do świętości dużo brakuje. Skrzywdziłem Waś w młodości, więc teraz wyleczę – Skrzetuski uśmiechnął się do Kozaka, co ów delikatnie odwzajemnił.

Potem do powozu wszedł cyrulik. Opatrzył przykładnie wszelkie rany Jurija, cmokając przy tym z powodu ich niemilego widoku. Jan starał się mu pomagać, obmywając ciągle krwawiące rozdarcia Jurija. Czynił to delikatnie, a czerwona stróżka mieszaniny bohunowej krwi i wody ściekała z jego dłoni na wystające spomiędzy skór deski powozu.

Kiedy wszelkie lecznicze powinności zostały wykonane, cyrulik wycofał się z wozu, uprzednio pozbierawszy swe sprzęty medyczne. Jan wychylił się nieco ze swego miejsca, aby wzrokiem uchwycić Aleksandra siedzącego na koniu. Wzrok Nagórskiego szybko padł na przyjaciela, na którego widok usta zacisnęły się w wąską linię:

- Mości Aleksandrze! - zawołał wesół w przeciwieństwie do Aleksandra Jan. - Prowadź do księcia Jeremiego!

- Kozak ten przysporzy nam kłopotów. Wspomnisz moje słowa, jako to było z Heleną – szepnął Nagórski, po czym zebrał wodze i ruszył na przód orszaku.

Jan cofnął się zaś do Jurija, którego oczy przymykały się ze zmęczenia. Zdołał jednak na widok Skrzetuskiego otworzyć je nieco szerzej:

- Gdzie mnie Waś wieszysz? - spytał szeptem.

- W bezpieczne miejsce – Jan uśmiechnął się, co Bohun oddał.

Potem Kozak odetchnął głęboko i zapadł w sen leczniczy. Nasz husarz zaś spojrzal uważnie na swoje dłonie, które poznaczone jeszcze były krwią Jurija.

Jan dobrze wiedział, że Aleksander zawsze miał rację i przeważnie, to on żałował swych czynów. Lecz Skrzetuski nie miał w zwyczaju uczyć się na swoich błędach, więc popełniał je ciągle. Nie miał też w zwyczaju słyhać swego przyjaciela. Czulał jednak, gdzieś w głębi duszy, że ocalenie Bohuna było dobrą decyzją i to pierwszy raz Aleksander będzie żalować swoich słów.

Lecz do tego było jeszcze daleko. Równie daleko jak do obozu Wiśniowieckiego. Dlatego Jan oparł się o drewniany bok powozu i w ślad za Jurijem przymknął oczy. Bo przypadków nie ma, są decyzje i pomyłki ludzkie.

Natalia Baran,
V Liceum Ogólnokształcące im. ks. Piotra Ściegiennego w Kielcach

Londyn, 1843 rok

Pogoda w Londynie o tej porze roku nigdy nie dopieszczała. Panie i panowie wychodząc ze swoich posiadłości ubierali coraz to grubsze nakrycia i szykowali się na nadejście zimy. W środku miasta, pośród zatłoczonych uliczek, znajdowała się piętnastoletnia Kaitou. Zagubiona dziewczynka była ubrana w znoszoną, prostą sukienkę z niedużymi falbanami. Ciągnęła za sobą małą walizkę przemierzając kolejne londyńskie uliczki. Była w drodze powrotnej do sierocińca. Poprzednia rodzina, która zdecydowała się ją przyjąć w swoje progi po wypadku pana Smitha postanowiła odesłać Kaitou z powrotem. Jego żona popadła w rozpacz przez co nie była w stanie zajmować się dziewczynką. Teraz, musiała dostać się na dworzec na pociąg. Na dworcu w King' s Lynn miał odebrać dziewczynkę opiekun z sierocińca. Kiedy dowiedziała się o powrocie do ośrodka popadła w histerię, wcale nie chciała wracać do tego odrażającym swoim wyglądem miejsca. Dopiero po tygodniu pogodziła się z tym faktem. Złe wspomnienia z dzieciństwa, które nie dawały spokoju Kaitou, sprawiły że samotna łza spłynęła po policzku brązowookiej dziewczynki. Cofnęła się myślami do chwil, kiedy jej koleżanki naśmiewały się z jej wąskich oczu. Szybko zdążyła przez to zniechęcić ich kształt. Przyspieszyła swój krok z obawy, że nie dotrze na czas. Po drodze na stację przyglądała się mijającym ją dylżansom, do których zaprzęgnięte były silnie zbudowane konie czystej krwi. Podziwiała je i wyobrażała sobie, siebie w przyszłości ubraną w bajeczną suknię z wieloma rzędami falban z modnym czepkiem słomkowym ozdobionym długimi wstążkami i kwiatami, który okalałby jej głowę i sięgał nisko do jej policzków. Fascynowała się modą, nie widziała świata poza nią. Po drodze minęła również miejsce, w którym niedawno rozpoczęto budowę jedenastopiętrowej wieży zegarowej Elizabeth Tower. Dworzec w Londynie zawsze był pełen ludzi, jednak tym razem jak się okazało nie było tutaj nikogo poza Kaitou. Dziewczynka postanowiła usiąść w samotności i poczekać na transport z tyłu budynku na już trochę zniszczonej, drewnianej ławeczce. Przyglądała się przekwitłym kwiatom i drzewom, które zrzuciły już liście. Znała ich wiele gatunków i odmian. Gdy zakwitły codziennie chodziła na długie spacerunki i godzinami się w nie wpatrywała. Latem robiła z nich wianki, nosiła je na czubku głowy wyobrażając sobie, że jest to złoty diadem. Nagle zauważyła, że krzewy zaczęły się poruszać w oddali. Kaitou uznała, iż jest to zapewne sarna, która musiała się gdzieś zagubić. Zwierzę zbliżyło się do niej, aż w pewnym momencie wyskoczyło tuż przed nią nieznanne jej dotąd stworzenie o masywnej budowie. Dziewczynka szybko się stuliła na ławeczce, a jej oddech znacząco przyspieszył. Nigdy przedtem nie widziała tak ogromnego zwierzęcia. Miało ono głowę smoka, ogon lwa, kopyta wołu, rogi jelenia, a cały tułów pokryty był łuskami ryby. Stworzenie dostojnym krokiem ruszyło w stronę Kaitou. Stał i pokłonił się tuż naprzeciwko wystraszonej piętnastolatki, która niepewnie spojrzała w jego stronę.

– Witaj Song Kaitou – stworzenie spojrzało prosto w oczy dziewczynki lekko przechylając swoją głowę w bok. – Jestem LingTu, nie chcę cię skrzywdzić. Należałem do twoich przodków z dynastii Song. Nie musisz się mnie bać - Stworzenie podeszło bliżej dziewczynki, głową lekko trącając jej dłoń.

Dziewczynka była w niemalym zdumieniu. Właśnie stało przed nią stworzenie, które nie dość, że potrafi mówić, to zna jej prawdziwe rodzinne korzenie, o których sama do tej pory nie miała żadnej informacji. Poglaskała delikatnie zwierzę i prosto przed nim stanęła.

– Cześć – odparła niepewnie Kaitou – Co cię tutaj sprowadza?

– Kilkanaście lat temu, kiedy byłeś jeszcze niemowlęciem, skradziono ważne karty z Księgi Xining, dzięki którym można przywoływać testrale. Użyte przez nieodpowiednią do tego osobę przynoszą nieszczęście, a jeśli komuś spojrzą w oczy to przyniosą mu koszmarne wypadki. Wpadły w ręce Zhang Chao, którego przodkowie zapoczątkowali konflikt z twoją dynastią. Jesteś jedyną osobą ze swojego rodu, która przeżyła ich ostatni atak na twoją rodzinną posiadłość i jako jedyna możesz go powstrzymać, oczywiście z moją pomocą. Twoim rodzicom zależało na chronieniu ciebie. Strażniczka, którą była twoja matka

poświęciła je, byś ty mogła uciec i przeżyć. Jako pierwsi musimy dostać się do grotty, gdzie Zhang Chao je przetrzymuje. Niebezpieczeństwo grozi każdemu w Chinach, a my nie jesteśmy w stanie sami zatrzymać jego nieodwracalnych działań. Losy wielu ludzi aktualnie wiszą na włoskach. Najważniejszym faktem jest to, iż w dniu kiedy osiągniesz pełnoletność posiadasz moc przemiany testrali w qiliny. Nikt dotąd nie podjął się tego wyzwania, dlatego pozostały w swoich pierwotnych formach. Jednak jako strażniczka będziesz mogła na stałe zdjąć z nich szkarlatny wygląd i sprawić, by nie przynosiły nieszczęścia innym. Zaginęły trzy karty z pięciu, reszta z nich jest w księdze, którą masz w walizce.

Kaitou szybko otworzyła swój bagaż i wyciągnęła jedyną książkę jaką w nim posiadała.

– Masz na myśli te baśnie? – dziewczynka pokazała mu okładkę utworu.

LingTu pokiwał głową potakująco.

– Niestety muszę odmówić. Bardzo chciałabym ci pomóc, jednak nie wiem jak odnaleźć zaginione karty i gdzie ich szukać – twarz dziewczynki lekko posmutniała.

– Prawdopodobnie znajdują się w Hainan pod jeziorem Kuku-nor w Chinach. Za pomocą pozostałych testrali z księgi oraz ich mocy jesteśmy w stanie się tam dostać i je zdobyć. Jesteś ich właścicielką, dlatego możesz poprosić je o pomoc. Ja ci pomogę w przedostaniu się tam, jeśli się na to zgodzisz. Mamy niewiele czasu na rozpoczęcie działania. Jeśli uda nam się odzyskać zostaniesz ich strażniczką, tak jak twoja matka – LingTu starał się przekonać dziewczynkę do pomocy, bowiem była ona ostatnią osobą na świecie, która jest w stanie zapobiec tej ogromnej katastrofie.

– Dobrze, zgadzam się. Od czego zaczniemy? – zapytała czarnowłosa dziewczynka.

– Wsiadaj – stworzenie uklękło, by Kaitou mogła usiąść mu na grzbiecie – Mogę nas tam teleportować, tylko musisz się mocno trzymać.

Piętnastolatka wdrapała się na grzbiet LingTu. W jednej ręce trzymała Księgę, a drugą trzymała się zwierzęcia, które zaczęło podążać śladami do miejsca, z którego przybył. Położone z dala od ludzi, dlatego było najbezpieczniejsze. Stworzenie wołało, by żaden człowiek nie dowiedział się o istnieniu takiej istoty, jak ta. Po drodze opowiedział dziewczynce o swoim gatunku, czyli czym są qiliny. Dowiedziała się dzięki temu, że pojawienie się jednego z nich to dobry znak. Kilkaset lat temu ukazywały się one tylko i wyłącznie w miejscach, gdzie ludzie uczciwie żyli i panowała harmonia. Zatrzymał się

dopiero nieopodal, na środku leśnej polany. Tupnął nogą i uniósł wysoko swoje rogi, które teraz pięknie lśniły we słońcu. Przestrzeń dookoła nich zaczęła się rozmywać i mienić na różne barwy. Nagle oczy LingTu przybrały czerwoną, wyrazistą barwę. W tym samym momencie nastąpił duży błysk, po którym zniknęli.

Jezioro Kuku-Nor w Chinach, 1843r.

LingTu bezpiecznie przetransportował dziewczynkę nad jezioro. Lekko kręciło jej się w głowie, dlatego pomógł jej usiąść na wybrzeżu, by ta mogła odpocząć po podróży. Między Wielką Brytanią a Chinami jest osiem godzin różnicy czasu, dlatego nagle z poranka nastął wieczór.

– U-udało się..? – wydukała cicho.

– Tak, już jesteśmy na miejscu. Jak się czujesz? – LingTu podszedł bliżej wody.

– Już jest mi lepiej – dziewczynka szybko się podniosła i podeszła do stworzenia – Co teraz?

– Wyjmij karty z Księgi i przeczytaj głośno i wyraźnie dwukrotnie dolne napisy.

Kaitou rozłożyła przed sobą talię i wykonała polecenie LingTu. Po chwili chmury na niebie przybrały ciemnoszary, burzowy kolor, następnie pojawiły się dwa testrale wyglądem przypominające skórzaste pegazy.

– Do usług naszej pani.. – zwierzęta pokłoniły się dziewczynce.

– Witajcie – pomachała dłonią w ich stronę – Potrzebujemy waszej pomocy w otwarciu przejścia znajdującego się pod jeziorem. Czy bylibyście w stanie to zrobić?

Zwierzęta spojrzwały się na siebie nawzajem, po czym przytaknęły i odleciały na środek akwenu. Rozpoczęły latanie dookoła zbiornika, wywołując przy tym porywisty wiatr powodujący powstawanie fal. Krople wody zaczęły się unosić, a na środku formułował się wir, który po chwili rozstał się na boki, dając dostęp do ukrytej dla ludzkiego oka kryjówki

Zhang Chao. Testrale po wykonaniu zadania od razu wróciły do swoich kart, gdzie czekały na swoje ponowne użycie.

– Gotowe, możemy wchodzić – qilin z powrotem wziął dziewczynkę na grzbiet i przetransportował ją pod samą bramę. Jego oczy znów przybrały ten sam, czerwony kolor, a rogi lśniły niczym najprawdziwszy klejnot – Nie znamy ich dokładnego położenia, musimy przeszukać całe pomieszczenie.

W środku panowały ciemności, dlatego LingTu oświecał cały pokój swoim rogami. Dookoła umieszczona była masa regałów z wieloma rodzajami niedostępnych i zakazanych ksiąg.

– Gdzie powinniśmy zacząć szukać? – Kaitou zaczęła się rozglądać.

– Odnoszę wrażenie, że może być tutaj ukryte pomieszczenie. Poszukajmy jakiś wskazówek. Po sprawdzeniu każdej półki piętnastolatka usiadła na krześle, by móc choć chwilę odpocząć. Nie sądziła, iż szukanie potrafi być tak trudne. Czula, że jest w tym miejscu coś, co przeoczyła. Ponownie zaczęła się rozglądać po pomieszczeniu, tym razem dokładniej niż przedtem.

– LingTu! – nagle podbiegła do stworzenia wymachując rękoma we wszystkie istniejące kierunki świata – Tam wysoko wisi klucz do tych drzwi!

Qilin spojrział w stronę, którą wskazała Kaitou i również go zauważył. Pomógł go jej zdjąć oraz otworzyć kolejne pomieszczenie. Na środku stała niewielkich rozmiarów otwarta skrzynia, w której znajdowały się zagubione karty.

– Czy to te karty, których szukaliśmy? – piętnastolatka spojrzała na LingTu z zaciekawieniem i nadzieją w oczach.

– Tak, to jest właśnie to, czego szukaliśmy – qilin dumnie spojrział na dziewczynkę, która chowała odnalezione karty do księgi – Od teraz jesteś ich właścicielką. Może zechciałabyś powrócić do swojej rodzinnej posiadłości? Co prawda nie ma tam już twoich rodziców, jednak znajdują się tam odpowiedni opiekunowie, którzy nauczą cię jak dobrze chronić księgę tak jak swoją matkę, by nie wpadła w niepowołane ręce ponownie.

– Zgadzam się.

Łukasz Cieplicki
Zespół Szkół Leśnych w Zagnańsku

Opowieści w ciemnościach

[John Ronald Reuel Tolkien, Hobbit, czyli tam i z powrotem]

— Kto to może być, jak myślisz, mój ssskarbie? — syknął Gollum (przywykł mówić sam do siebie, nie mając nikogo innego do rozmowy). Bilbo z zapartym tchem spojrzał na skrywkę w cieniu pokrę z wybaluszonymi oczami. — Jestem włamywaczem, znaczy niziolkiem, hobbitem. — wypalił szybko Bilbo, ze strachem wpatrując się w błyszczące w mroku grotu wylupiające oczy, które zrobiły się jeszcze większe na dźwięk wydłukanego przez przerażonego Bilba słowa „niziolek”. — Niziolek? Nizolczysko? A ssskąd on przeszszedł, ssskarbie? Ssskąd? — zasyczał, mrużąc oczy stwór, w którego pamięci słowo to rozpalilo płomyk zdawać by się mogło dawno już przypadłych wspomnień. — Z Shire, spod pagórka. Zgubiłem moją kompanię i samego siebie, a teraz jak najszybciej chciałbym się od zgubić. — powiedział głośno, chcąc brzmieć jak najgroźniej. Gollum nie przejął się próbą pokazu odwagi, w swej głowie odgrzebywał dawne wspomnienia sprzed wielu set lat. Bilbo stał w otulającym go mroku z ręką na rękojeści swego ostrza, oczekując na jakiś ruch straszliwej ukrywającej się w cieniach jaskini maskary. — Glum, glum! — zagulgotał w końcu stwór, sprawiając, że Bilbo podskoczył niczym konik polny. Wysunął z pochwy elfickie ostrze jarzące się błękitnym blaskiem, stając przy tym w bojowej postawie. Widząc to, Gollum cofnął się w głąb jamy, sycząc w przestkach. — Ależ on niegrzeczny ssskarbie, niegrzeczny. Ssstraszny nass, kiedy my tylko sssobie rozmawiamy, nic mu nie robimy. Niech ssschowa, ssstraszny sssztylecik, niech ssschowa, to jessszcze pomówimy, może pomożemy znaleźć drogę, prawda ssskarbie? — Naprawdę mnie wyprowadzisz w zamian za pogawędkę? — Wyprowadzimy, wyprowadzimy ssskarbie, tylko niech nam jeszcze opowie o Ssshire. — Bilbo zdziwił się zainteresowaniem swojego nietypowego rozmówcy jego ojczyzną, ale uznał, że kilka opowieści o leniwe płynących popołudniach wśród ludu spod pagórka to niska cena w zamian za wyprowadzenie z labiryntu kamiennych korytarzy. Hobbit przysiadł na skale naprzeciw wpatrujących się w niego z zaciekawieniem wielkich oczu. Zaczął opowiadać o

rozległych polach, starym lesie, rzece Baranduinie, Bag End oraz o życiu niziolków w Hobbitonie. Opisywał czas zbiorów, urodziny bliskich przyjaciół i święta. Rozmarzając się z dokładnością godną krasnoludzkiego kowala, przedstawiał swemu wiernemu słuchaczowi wszelakie potrawy i przysmaki. Gollum przysłuchiwał się jego bajaniom z niemalym zaciekawieniem, te niby proste historyjki o codziennym życiu mieszkańców odległej krainy odkrywały w jego pamięci coraz to dawniejsze wspomnienia minionych wieków. Życie sprzed jego podróży do Gór Mglistych i zagrzebienia się przy podziemnym jeziorze, kiedy to jeszcze pamiętał, jak delikatnie muskał wiatr i przyjemnie grzało słońce. Bilbo rozprawiał tak jeszcze długo, aż skończyły mu się tematy godne uwagi i istotnie ciekawe. — No dobrze, ja dotrzymałem swej części naszej umowy, teraz ty dotrzyмай swej. — Tak, tak ssskarbie ładnie nam opowiedział, bardzo. — powiedział wyrwany z zadumy stwór. Opowiadki niziolka odkryły przed nim dawne zapomniane radosne chwile spędzone z jego ludem, przypomniał sobie swą babkę, wielką matronę jego ludu, nawet dzień, w którym otrzymał swój skarb, swój urodzinowy prezent, stał się bardziej wyraźny. Jednak wciąż nie mógł dokładnie przypomnieć sobie, kto podarował mu tak cudny dar. Nie był świadom, że to właśnie on mieszał w jego wspomnieniach, ukrywając jej zniekształcając, przez co naginał go do swej woli i dawał czas swemu prawowitemu właścicielowi na odzyskanie sił i powrót. Pierścień ów - mając swego rodzaju wolę - uznał, iż najwyższy czas porzucić swego starego niewolnika i czas najwyższy znaleźć drogę powrotną do swego prawowitego właściciela. Jednak przedmiot ów wielkiej mocy obecnie znajdujący się na dnie kieszeni hobbita nie spodziewał się, iż porzucając Golluma, uwolnił go spod swej władzy, wyzwalając przy tym wspomnienia zdarzeń dawnych lat, mimo iż było to czas tak dawne, że żaden z hobbitów, krasnoludów czy ludzi już ich nie pamiętał. Żalosa pokraka, jaką uczynił z niegdyś istoty jakże podobnej do Bilba, zaczęła

przypominać sobie szczęśliwe lata wśród jezior i mokradel Pól Gladden.-Ale niech nam jesssyczne pozwoli, zapytać go, sssskarbie niech nam pozwoli, błagamy go.- nalegał stwór, chcąc przypomnieć sobie więcej detali własnej przeszłości. Bilbo spojrział na niego niepewnie. Nie wiedział, ile czasu spędził w grotcie z jeziorem, ale było to już stanowczo za długo. Nie wiedział, co dzieje się teraz z jego kompanami.Czy orki zdołałyich dopaść, a teraz pastwią się nad nimi w odwecie za śmierć Wielkiego Goblina? A może udało im się umknąć, a teraz zastanawiają się i martwią, gdzie też zagubił im się włamywacz? A może zupełnie o nim zapomnieli i czmychnęli jak najdalej z dala od niebezpieczeństwa? Jedynym sposobem, by zdobyć odpowiedzi na te pytania, było wydostanie się z grotty, co jednak nie było możliwe bez pomocy Golluma. Niziołek westchnął ciężko, nie widząc żadnego innego wyjścia z tej sytuacji, postanawiając przystać na prośbę stwora. – No dobrze. Zatem słucham?–Czytam w

Ssshire są jeziora, a w nich sssoczyste rybki? Czy oni po nich pływają ssskarbie? Czy oni łowią rybki? By zjeść ze smakiem, kiedy się jesssyczne wiją?- Skądże!?- wzdrygnął się Bilbo na samą myśl o zjedzeniu jeszcze żywej ryby. - Żaden szanujący się hobbit nie zjadłby surowej ryby, a co dopiero jeszcze żywej. – Niemądre hobbiciska nie wiedzą co dobre.- prychnął Gollum. – Zresztą żadenhobbit nie odważyłby się wypłynąć na jezioro, to bardzo niebezpieczne pływać po jeziorach, sadzawkach czy choćby oczkach wodnych. Jedyni hobbici, którzy by się nie bali tak ryzykować, to Tukowie, ale oni zawsze byli trochę dziwnii mówię to, mimo iż sam jestem po części Tukiem po matce.- stwierdził Bilbo – Kiedyś czytałem w jednej z mych ksiąg, iż wywodzą się od Stoorów, dzikich hobbitów, chociaż oni nazywali się raczej Kudukami.- na te słowa Gollum zawył tak przeraźliwie, że aż biedny Bilbo spadł z głazu, na którym przycupnął. Na dźwięk nazwy swego dawnego ludu i ich zamiłowania do pływania po wszelakich zbiornikach wodnych nieszczęsny Smeagol przypomniał sobie chwilę, w której wszedł w posiadanie swego urodzinowego prezentu.- Degolu, kochany Degolu.- zalkał zrozpaczony wspomnieniem jego drogiego kuzyna.- My nie chcieliśśmy, to ssskarb nam kazał, och kochany Degolu.- Bilbo słysząc lamentowanie stwora, przeraził się. ”Czyżby całkiem postradał rozum od samotnego życia w mrokach podziemi gór mglistych?”. Będąc dobrze wychowanym hobbitem, postanowił zapytać płaczącego teraz w mroku Golluma, co sprawiło, że zalał się łzami. – Czy wszystko w porządku?Dlaczego płaczesz? – My, nie chcieliśśmy, ssskarb, ssskarb! On tak pięknie wołał, śśślicznie. Kochany Degol, on go znalazł, ssskarb też musiał go wołać, nas obu. Co my mu zrobiliśmy, passskudni.–wydukał Gollum, po czym ponownie zalał się łzami żalu i smutku. Słuchając tego żalosego belkotu przeplatane go łzami, zagubiony niziołek przeraził się, wysłuchując o skarbie, który pchnął to oto zalewające się gorzkimi łzami stworzenie do czegoś, jak domyślał się Bilbo, okropnego. Zastanawiał się, czym też może być ten skarb - jak nazywał go Gollum, nie wiedząc, iż ów straszliwy przedmiot, a mianowicie niewielki złoty pierścień, leży obecnie na dnie jego kieszeni. Zdający się być niczym niezwykłym, ot niepozornym przedmiotem, jaki można znaleźć na każdym targowisku. Jednak w tym przypadku był to przedmiot wielkiej mocy, która zaważył któregoś dnia nad losem świata, tak jak zaważyła nad losem istoty, którą w dawnych czasach niewielki mąż z Shire mógłby uznać z pobratymca z dzikich krain. – To wszysstko wina ssskarbu... - syknął wściekle Gollum, przerywając swoje łkanie. – Zły, ssskarb, passskudny, przeklęty, nie chcemy go,glum, glum!!!! – wrzasnął, po czym zaczął nerwowo przetrząsać zawieszony na sobie lachmany. Na początku gwałtownie, szybko, lecz po chwili zaczął robić to wolniej, dokładniej, jakby nie mógł czegoś znaleźć. – Nie ma go, nie ma,przepadł. – zaśmiał się stwór, by za chwilęzawył.

– Nie!Gdzie on jest?Gdzie on jest?! –Wrzasnął nerwowo, wyrzucając z kieszeni rybnie ości, skrzydła nietoperzy i zęby orków,by zaraz znowu stwierdzić. – Niech, przepadnie, niech nasss zossstawi.- Głupi, ssszukać!!! – Nie!Niech przepadnie, niech nie wraca! – Jest nasssz, nasssz prezent! – łapiąc się za głowę, syczał i warczał sam na siebie, przerażając obserwatora tej wewnętrznej wojny, jakim był Bilbo kryjący się za jednym ze stalagmitów. – Odejdz, zostaw, przepadnij i już nie wracaj! – wrzasnął w końcu stwór, po czym dało się słyszeć tylko głośny plusk, po którym zapadła cisza. Niziołek wychylił głowę zza swej kryjówki, po Gollumie nie było ni widu ni slychu. Zbierając w sobie resztkę odwagi, Bilbo postawił krok naprzód, wyciągając swój miecz, by jego światłem dodać sobie otuchy i rozproszyć mroki, w których

znajdował się już od dłuższego czasu. Blask ostrza zdawał się być znacznie bledszy, jednak wciąż dawał na tyle światła, by rozegnać ciemności jaskini. – Ejże, jesteś tu?! – krzyknął Bilbo, jednak nie uzyskał odpowiedzi. Jego niedoszły przewodnik będący jego ostatnią nadzieją na wydostanie się przepadł w odmetach jeziora. Zrezygnowany opadł na jeden z większych kamieni i westchnął. – Zachciało mi się przygód. – mruknął pod nosem. – Pewnie przyjdzie mi doczekać końca mych dni w tej jaskini. Trzeba było zostać z moim fotelem, książkami i ogródkiem w Bag End, nie siedziałbym teraz sam, w mroku i bez drogi powrotnej. – Bilbo siedział tak jeszcze przez chwilę, pograżając się w rozpacz, kiedy po jaskini poniosło się głośnie chlap. Baggins podniósł się szybko, nastawiając uszu. Chlap - dźwięk powtórzył się. – Gdzie jesteś? – zapytał dzierżący gondolińskie ostrze niziołek, wypatrując jakiegokolwiek ruchu ujawniającego obecność stwora. – Jessstem... tutaj? – padło niepewnie znad brzegu jeziora. Gollum podpełzł bliżej w zasięg światła miecza Bilba z zagubionym wyrazem twarzy. – Sssmeagol, obiecał mi, że pokaże drogę, wyjśćście. Dotrzyma obietnicy... tędy przez ssszczelinę. – powiedział jakby sam się zastanawiał, czy na pewno jest to właściwa droga. Hobbit ruszył za nim bez słowa, nie wiedząc nawet, co miałby na to odpowiedzieć. Smeagol szedł powoli ze zwieszonym lbem, mamrotając coś pod nosem, dla idącego za nim brzmiało to mniej więcej „przepadł, zginął paskudny” oraz „cissssa, cichutko, jak miło”. Chudy i zwinny Smeagol bez wielkiego wysiłku przeciskał się między skałami, czego niestety nie można było powiedzieć o nieszczęsnym Bilbo, który przy każdym zwężeniu zaklinowywał się albo zahaczał kurtką o wystające skały. Kiedy tak się działo, musiał dosłownie wyszarpywać się z kamiennych objęć, tracąc przy tym większość guzików oraz urywając kaptur. Kiedy tylko się tak działo, jego towarzysz przystawał, łapał go za rękaw kurtki i pomagał się wyswobodzić. Wędrowali między szczelinami, niedbale wykonanymi tunelami, unikając orkowych oddziałów, dzięki blaskowi ostrza Bilba i wzrokowi Smeagola od lat przyzwyczajonego do jaskiniowego mroku, aż dotarli do wielkiej

groty. Smeagol zatrzymał hobbita ręką, a drugą wskazał na wrota znajdujące się w dalszym końcu groty, a przy nich orka strażnika opartego o swoją włócznię i śpiącego w najlepszej. Najpewniej nieświadomego jeszcze upadku swego króla. – Passskudne orkcysssko. Pilnuje przejśćcia. – syknął niezadowolony strażnik. Hobbit przyjrzał się wrotom i dostrzegł, iż nie są one do końca domknięte. Podrapał się po głowie, po czym zwrócił się do Smeagola. – Posłuchaj, dotrzymałeś obietnicy, wyprowadziłeś mnie i nie jesteś mi już nic winien. Możesz odejść, dziękuję za twą pomoc. – To Sssmeagol dziękuje. Że on tak ładnie opowiedział o Ssshire. – Bilbo skłonił się nisko, na co jego przewodnik odpowiedział tym samym, powoli wycofując się z powrotem do korytarza, którym przyszedli. – Niech Bagginsss uważa, jak jest jeden, gdzieśss sssiedzi drugi. – Kiedy stwór całkiem zniknął w ciemnościach, włamywacz postanowił wprowadzić w życie swój plan przeszliznięcia się obok strażnika. Podniósł z ziemi kamyki i zamachnął się, a jego pocisk trafił w cel. – Kogo tam! – warknął, równie wściekłym co zaspanym głosem, po tym jak kamień trafił go w głowę. Bilbo złapał za kolejny kamień, lecz tym razem rzucił go w stronę tunelu prowadzącego w głąb góry. Strażnik ruszył ze swoim orężem w tunelu, mamrocząc pod nosem różnorakie przekleństwa. Nie czekając ani chwili dłużej, hobbit podbiegł do wrót. Były one znacznie cięższe niż mógłby się spodziewać. Szarpał się z nimi przez chwilę, aż zaczęły ustępować. Niziołek już czuł zapach świeżego powietrza, które było dla niego teraz słodsze niż jakikolwiek przysmak z jego rodzinnych stron, kiedy został złapany za kark i uniesiony w górę. – Jednemu szcurkowi nie udało się czmychnąć z resztą!? – zacharczał ork w skórzanej zbroi, wpatrując się w Bilba z żądzą mordy i nienawiści, szczerząc przy tym poźółkle kły. – Już ty nam zapłacisz za śmierć naszego króla, oj! zapłacisz. Zaraz cię przeciwiczymy w naszych loch-AAAA!!! – ryknął nagle strażnik, upuszczając hobbita. Bilbo podniósł się szybko z ziemi, otrząsając się z upadku. Podniósł wzrok, a jego oczom ukazał się Smeagol, który obtłukiwał, gryzł i drapał orka, siedząc mu na barkach. W końcu atakowanemu udało się złapać stwora za rękę i cisnąć nim o ścianę. Hobbit w tym czasie złapał za swój mieczyk i zamachnął się na nieprzyjaciela. Ten zachwiał się przez moment, próbując dobyć miecza, jednak nim zdążył go wyciągnąć, padł bez ducha u stóp Bilba. Nagle do jaskini dotarł dźwięk ciężkich buciorów, grzechot zbroi, warknięcia i okrzyki bojowe orków, którzy zbliżali się z każdą chwilą do przedsionka zaalarmowani dźwiękami szarpaniny. – Niech ucieka, niech zmyka Bagginsss. Zaraz tu

przyjdą passskudne orkczysska. – powiedział podnoszący się z ziemi Smeagol, wycofując się do swojego tunelu. Bilbo stał w oszłomieniu, patrząc na dziwną pokrakę, której zawdzięczał życie. – Niech idzie, niech zmyka ssszybko, na co on czeka?! – powtórzył niespokojnie ów stwór, słysząc zbliżające się orki. Niziołek otrząsnął się w końcu, podbiegł do drzwi, po czym zaczął się przeciskać przez szparę, którą udało mu się poszerzyć. Zanim całkowicie zniknął za wrotami, spojrzal raz jeszcze na niezwykle stworzenie, które spotkał wewnątrz góry. Było to spojrzenie pełne wdzięczności, takie, które można otrzymać tylko od kogoś, komu ocaliło się życie. Smeagol odpowiedział na to tylko uśmiechem i pomachał Bilbowi na pożegnanie.

Maja Jarmoluk

III Liceum Ogólnokształcące im. C. K. Norwida w Kielcach

Rok 2017 Wanda

Wanda ospałym jeszcze ruchem skuliła nogi. Łagodnie, jednak bez szczególnej gracji. Zmuszając otulone pierzyną mięśnie do skurczu. Teraz na wpół wstała i przyjrzała się ogromnej drewnianej półce, wwiercając przy tym wzrok w błyszczącą żółtawą książeczkę z połyskującą na okładce klepsydrą. Zajmującą niewielką przestrzeń między jak jej się onegdaj wydawało milionem innych pozycji. Niespotykanym zrzędzeniem losu to właśnie ten niepozorny piaskowy tomik stał się jej największym przekleństwem i o ile można powiedzieć, że czternastoletnia dziewczynka skłonna jest do takich uczuć obiektem czystej nienawiści.

Rok 1999 Helen

Był to zaledwie początek chłodnego za to niezwykle jasnego marcowego dnia dzień 17 urodzin Helene, jednego z tych niespokojnych dni, przez które człowiek, nawet jeśli jest jubilatem, zaczyna modlić się w duchu o jak najszybsze przeminiecie tego upiornego miesiąca. Wyliczając w myślach dni pozostałe do nadejścia cieplejszej bogatszej w zieleń traw i pąki kwiatów pory roku. Nic dziwnego, że właśnie w tak niezdarnym i figlarnym czasie zdarza się ludziom popełniać najstraszliwsze błędy i wpadać w najbłahsze pułapki życia, które ma na tyle spaczony gust, że zawsze wybiera tych, którzy kochają je na tyle mocno by nie zważać na podstawianie nań nogi i przec dalej w zaparte. Nawet jeśli skończy się to bolesnym upadkiem. Chociaż słowo skończy, nie będzie najlepszym wyborem, ono będzie trwać nie przerywając, zamieniając się w proste pasmo upadania i powstawania z kolan. Ale powiedzmy sobie szczerze, ile można ignorować te przeszkody? W którymś momencie musimy sięgnąć po ratunek łapczywie wyciągając dłonie by pochwycić choćby i brzytwę, by tylko wypełnić tę mikroskopijną lukę pomiędzy jednym a drugim upadkiem. Taka odskocznia dla różnych ludzi pokrywa się z nieco odmienną definicją szczęścia, dla Helen Hallward bez wątplenia przybierała kształt wypełnionej słodkawo gorzką nutą dramaturgii. Miłość ta wykiełkowała owego marcowego poranka, gdy przypadkowo w jednej z cotygodniowych loterii, w których wręcz fanatycznie brała udział, wygrała bilet do teatru na sztukę niejakiego Williama Shakespeare pod tytułem Król Lear wystawianej zazwyczaj po zmierzchu, w pobliskim teatrze mieszczącym się na obrzeżach miasta. Pełnego ciszy, poniekąd zapomnianego miejsca. Był to faktycznie ciekawy teren wypełniony słodką wonią bzu, lawendowych olejków, agrestu i konwalii mieszających się z kwaskowatym zapachem lez i zimnego potu widzów poruszonych spektaklem najwyraźniej mieszanina zapachów zdążyła wgryźć się w wiekowy materiał foteli. Groteskowo nadawało to tylko większego czararu. Opiewało aurą tajemniczości przyciągającej do siebie nawet te na pozór wyprane z wszelkiej wrażliwości dusze, zapach ten w połączeniu z widokiem białego marmuru wielkich kolumn, pilastr i emanujących karmazynem kotar czy foteli otulił serce Helen miłym ciepłem tak różny od chłodu tych płytkich paskudnych uliczek i sklepików, do których przywykła. Potrafił zawrócić w głowie tak intrygujący, a jednocześnie tak piękny wydawał jej się ponadczasowy, choć prawdopodobnie był to jedynie wynik impulsywnego poruszenia wytępionych przez jesienne noce i zimowe dni zmysłów marzycielki. Koniec końców gmach teatralny przekonał ją do podjęcia piekielnej w skutkach decyzji postawienia w nim stopy i zapuszczenia korzeni. Jakiś czas po tym fatalizm sytuacji zaczynał się nieśmiało ukazywać i dawać pierwsze owoce. Dziewczyna przesiąknęła sztuką teatralną do tego stopnia, że cztery

kąty niewielkiego mieszkanca zaczęły opływać w scenariusze przypominając znamienitą, lecz nadgryzioną zębem czasu i zaniedbania bibliotekę aleksandryjską w wersji kieszonkowej, bowiem miłość, którą je obdarzyła była miłością czysto chaotyczną daremne byłoby doszukiwanie się w niej czegoś więcej niżeli kilku wzruszeń, tęsknych spojrzeń ewentualnie pojedynczej lzy spływającej po policzku, jednak był to jedynie początek. Z czasem poezja i wszelakie klasyki literackie poczęły uzurpować sobie miano niezastąpionej radości w życiu młodej, Helen. Apogeum tego zafascynowania przypadło około sześciu lat później, gdy zaszła w ciążę. Co prawda nadal wielkim uznaniem młódki cieszyły się

Szekspirowskie dramaty przypominające o początkach wielkiej, choć przypadkowej miłości jednak na pierwszym miejscu u podium wyróżniała się księga innego autora Oscara Wilde, który stał się nowym obiektem westchnień, nieco bardziej obsesyjnym z powodu buzujących hormonów. Była to książka oczywiście wyjątkowo naszpikowana podobieństwem do tragedii Szekspirowskich, ale różniła się jednym z pozoru nic nieznaczącym szczegółem pewną lekką postacią o kasztanowych włosach i labędziej szyi, która miała zająć miejsce w sercu blond włosej kobiety na wieki wieków mianowicie Sybil Vane wdzięcznej aktorki, która wręcz emanuje energią czystym pięknem i talentem aktorskim. Kobieta lekka i miła oczą publikę niczym Afrodyta jednego dnia wcielająca się w rolę Kordeli innego przybierając szaty Julii. By ostatecznie cichymi nocami przybrać swój własny kształt, tak to było to czego szukała Helen- największy autorytet, jaki stanął dotąd na jej drodze życiowej i bohaterka książki pt: portret Doriana Greya.

Gładząc ręką gładką powierzchnię obrzmiałego wypadającego brzucha, zaświergotała -Jestem przekonana, że będziesz równie wielką aktorką, jak ona moja droga Sybil Spod przymrużonych oczu tliły się tysiące iskerek nadziei i pewności, że wypowiedane słowa okażą się proroctwem. A wykrzywione w dziwnym grymasie usta miały uśmiechać się do niedalekiej przyszłości.

Rok 2017 Wanda

Według historii zasłyszanych przez Wandę od Matki, gdy Helen była w ostatnim miesiącu ciąży nagle przeczytała piaskowy tomik z zapartym tchem. Po części przez burzę hormonów po części przez przejęcie i skłonności melancholijno sentymentalne zdecydowała że jest wręcz zobowiązana zapisać ten moment w swoim życiu nie może go zapomnieć. Musi stworzyć rzeźbę która nie pozwoli jej pamięci wyprzeć tak wielkiego wzniesienia duchowego, dlatego też ochrzciła jedną z bliźniaczek imieniem szlachetnej aktoreczki o miłych rysach „Sybil” przy nadawaniu imienia drugiej jak to wspominała inspirowała się klasyką chcąc nadać jej imię Kordelia... Choć w tym przypadku poszła z ojcem na kompromis (podobno honorowo walcząc o Kordelie do końca.) Finalnie, jednak zgadzając się na Annę uważała że mimo popularnej prostoty jego brzmienie jest wdzięczne, nieco romantyczne i pobrzmiwa w nim echo jakiejś niezemskiej lilii wodnej, czy też ideału helleńskiej bogini. Oh, jakże Sybil była o tą prostolinijność zazdrosna już w wieku lat 7 gdy tylko przekroczyła mury szkolne zaznała prawdziwej zawiści ze strony rówieśników zawzięcie wyśmiewających coś na co przecież nie miała żadnego wpływu. Okrzyknięta została mianem dziwadła, popychanie na korytarzu prześmiewcze spojrzenia czy wulgarne zwroty w jej kierunku stanowiły elementy codzienność nie mniej sztampowe niż oddychanie. Każdej nocy przed zapadnięciem w

objęcia Morfeusza widywała mdle przeblyski postaci przywołując wspomnienia raz pulchnej brunetki o piegowatej twarzy wyrrywającej jej z ręki książki by uraczyć je zimną kąpielą drugi szczupłego blondyna o rumianych policzkach wyrzucającego śniadanie przez okno czy choćby standardowe nagle wybuchy śmiechu gdy przechadzała się po jasnych alejkach pokrytych zewsząd murem stalowych szafek otwierających się pod wpływem maleńkich kluczyków jej obecny był już trzecim z kolei najwidoczniej zabieranie go sprawiało niemal religijną przyjemność jakiegoś pseudo sakralne wzniesienie brunetce która robiła to nałogowo. Była pewna że gdyby tylko miała na imię Maria bądź Anna jak siostra nie doszło by do całej masy przykrych zdarzeń jakich doznała Sama Helen wydawała się nieco zawiedziona córką która nie miała ani kasztanowych włosów ani labędziej szyi a co dopiero talentu aktorskiego. Sybil głęboko wierzyła że nie stanęła na wysokości zadania i nie była w stanie spełnić ambicji matki. Zmęczona wyalienowaniem Sybil nabrała wzdętych względem imienia które jej nadano, podobno prawdziwie wielcy ludzie sprawiają że sam czujesz się wielki, ciągle obrzucając książkę wzdętych spojrzeniem Wanda zaczęła zastanawiać się nad znaczeniem tych słów dochodząc do wniosku że być może matka rzeczywiście czuła się na swój sposób wielką dzięki rozbajającym afirmacją poetów które z pewnością nadawały jej swego rodzaju blasku, jednak ona sama czuła się przez nich na tyle maleńka i wypruta że nie chciała już nawet używać własnego imienia. ‘Sybil’ brzmiało dla niej okropnie, obco znacznie bardziej spodobało jej się imię Wanda zwykle codzienne szare... nic szczególnego nie można by znaleźć w nim żadnego drugiego dna kontrowersyjnej postaci ani ‘dziwaczego’ brzmienia za które zostałaby wyśmiana dlatego też bez większych oporów

przedstawiała się właśnie tym mianem. Ale prawdę mówiąc gdzieś w głęboko ukrytym kawaleczku serca za skrytymi drzwiami wiedziała że nie należy do niej. Nie opisywało jej ani nie było nią. Nie było nią imię należące bardziej do matki niżeli do niej samej nie była nią twarz należąca również do bliźniaczki nie była nią znieawidzona powieść ani ukochana książka. W tej płataninie myśli nie mogła doprawdy znaleźć ani jednej rzeczy która prawdziwie by ją definiowała należała do niej. Którą mogła by opisać jako część siebie, albo po prostu siebie. Przywołując w wspomnieniach wykrzywioną w grymasie twarz Matki gdy pierwsze, drugie i piętnaste przedstawienie w którym grała Sybil okazało się jedną wielką klapą a jej braku talentu nie rekompensowały nawet prywatne lekcje czuła przesywający smutek bezradność i pustkę Kto wie czy poszukiwanie autorytetu tak wielkiego że sama poczułaby się choć trochę większa od mrówki nie załatwiłoby całego problemu tożsamościowego który tak przewlekle ją męczył. Co prawda nic nie mogłaby na takowych poczynaniach stracić a gdyby ostatecznie zyskała możliwe że w końcu poczułaby że słowo 'ja' rzeczywiście znaczy więcej niż bezsensowna wręcz losowa zlepka nic nie znaczących liter. W takim razie podejmie próbę i dowie się jak wzór inaczej nazywany autorytetem wpływa na odnalezienie samego siebie i Jak zdobyć przepis na wypełnienie dręczącej pustki. Wiedząc że leżąc dalej pod pierzyną nie przybliży się nawet o krok do poznania odpowiedzi na zadawane pytania postanowiła udać się do skarbnicy wiedzy popularnie nazywanej biblioteką. Tak też zrobiła. W końcu zrywając się łóżka przebijając i szybkim krokiem pędząc do najbliższej biblioteki. Gdy tylko na horyzoncie pojawił się widok budynku kroki zielonookiej stały się mniej rześkie każdy kolejny był kapkę wolniejszy i bardziej drętwy za to oddech wręcz przeciwnie stał się przyspieszony i nierówny wrodzona o zgrozo nieśmiałość pogłębiania z każdym rokiem okazała się trudnym do pokonania przeciwnikiem jednak Wanda

nie chciała dawać stojącej nieopodal grupce dzieciaków na oko w podobnym wieku powodu do śmiechu więc z trudem przezwyciężyła siebie i podeszła bliżej i bliżej będąc już przy drzwiach westchnęła ciężko i przyciągnęła klamkę mówiąc w myślach -teraz nie ma już odwrotu. Gdy jej wzrok spotkał się z wnętrzem budynku poczuła zdumienie nie wiedziała że w tak małym miasteczku jak to w którym mieszkała może znajdować się biblioteka konkurująca zasobnością z jej domową kolekcją a jednak. Przeciagając wzrokiem nigdzie nie mogła odnaleźć śladu bibliotekarki więc ciągle jeszcze pijana w dopaminę uwolnioną podczas wcześniejszego wejścia postanowiła iść za ciosem i sama poprze chadzać się między półkami jej uwagę przykuł zbiór uwieńczony tytułem literatura piękna znacząco różnił się wielkością od innych działów był znacznie zasobniejszy w pozycje. Zainteresowanie dziewczyny niemal od razu wzbudził czarny skórzany tomik który przypadkowo wypadł z objęć drewnianych desek nie uraczony żadnym tytułem rozbudzał ciekawość jeszcze bardziej. Otworzyła go w środku i rozpoczęła czytanie być może 11 albo 7 rozdziału nie zdążyła się obejrzeć gdy powieść wciągnęła ją do reszty i dała się zatopić lekturze do momentu w którym nie zobaczyła własnego imienia Sybil wtedy ciągle ślamazarnie ale już jakkolwiek mózg dziewczyny zaczął przetwarzać informacje i dochodzić do prawdy Ostatecznie rozwiewając wszelakie wątpliwości i przywracając ją do realnego świata głos bibliotekarki w średnim wieku.

-Widzę że wybrałaś powieść Wilda znakomity wybór!

Odwracając się Wanda obdarzyła posiwiałą kobietę niezdarkim uśmiechem (Jednej z nielicznych cech odziedziczonych po matce)

-... Coraz mniej ludzi odwiedza takie miejsca jak biblioteka szczególnie rzadko widuję tu młodych ludzi takich jak ty.

Skwitowała bibliotekarka glosem przepelnionym żalem po czym zaczęła kontynuować oczyszczając gardło szybkim chrząknięciem

-Jeśli opowieść cię wciągnie

dygnęła lekko głową w stronę skórzanego tomiku

- a mogę ręczyć własną głową że tak też się stanie, to zajrzyj do pobliskiego teatru w ciągu godziny powinni ją akurat wystawiać. Uśmiech mimowolnie zniknął z twarzy cztery nastolatki całe życie chowała urazę do książki urazę do przedstawienia do Sybil czyż nie byłoby szaleństwem porzucanie fali sady która była bezpośrednią przyczyną spuszczonej przez całe życie głowy? Nie chciała stać się bezwolną marionetką słów jakiegoś poety ani

kalką wytworzonej przez niego postaci. A autorytet którego darzy się szacunkiem uznaniem zaufaniem nie kojarzył jej się z niczym innym jak zwodzeniem czystym podporządkowaniem i brakiem samodzielnego myślenia niezwykle trudno byłoby wybudować światopogląd na gruzach poprzedniego ale podobno nie cel czyni nas tymi którymi jesteśmy a droga którą musimy pokonać by się nim stać. Dlatego też ponownie podniosła wzrok na twarz kobiety i tym razem pewnie powiedziała

-W takim razie muszę jak najszybciej zająć miejsce w teatralnym gmachu

Powiedziała po czym zerwała się do wyjścia zapominając że nadal trzyma książkę w rękuPrzypominając sobie o niej dopiero po pokonaniu dwóch przecznic stwierdziła że zatrzyma ją przy sobie a po skończonym spektaklu zwróci na właściwe miejsce. Wprawdzie była już niecałe dwie minuty drogi do lokalu docelowego ale tak jak poprzednim razem każdy kolejny krok robił się coraz cięższy jak gdyby spowity grozą kamień przywiązywał ją do ziemi a siła grawitacji wzrastała z sekundy na sekundę ciało Wandy było przekonane że nadchodzi jakiś wielki moment w życiu dziewczyny choć w tej chwili nie miało to większego znaczenia liczył się tylko spektakl i to jakie odczucia będą mu towarzyszyły w końcu tak prostą czynnością jak obejrzenie adaptacji teatralnej miała zmienić swoje życie o 180 stopni lub przeć w zaparte i nabrać do Sybil jeszcze większego wstrętu spoglądając na nieco zakurzony złoty szyld i zdobiące go mętne litery pomyślała że ten budynek jest teraz jedynym wyraźnym miejscem jakie rysuje się jej przed oczami wszystko inne nabrało odległego spowitego mgłą rozdartego i rozmytego wydźwięku. Z duszą wiszącą na ramieniu podeszła do kasy szperając przy tym w kieszeniach, próbując opuszkami palców odnaleźć zaginione banknoty i parę monet o ile nieco niewyraźny obraz na cenniku nie oszukał jej koślawych zmysłów to szukała właśnie 25 złotych i 99 groszy w jednej z kieszeni znalazła jedynie 2 banknoty o najniższym nominale przeszukała więc zacięcie torbę ale i to na nic jedyne co pochwyciła to paczuszkę miętówek i skórzany tomik. Zrezygnowana miała już zawracać gdy nagle kasjer zwrócił na nią uwagę uprzejmym tonem wygłaszając

- Witam! Wybaczyć nie zauważyłem cię. Długo tu tak stoisz?

Po zadaniu pytania pracownik nie czekał jednak na odpowiedź

-Jeśli przysłaś na popisowe widowisko z pod pióra Wilda to w samą porę zaczyna się za 5 minut masz wielkie szczęście bo został nam ostatni wolny fotel . Dziewczyna już dobierała słowa którymi mogłaby odmówić jednak pracownik był szybszy

-Z tego też względu wpisujesz się w ramy zniżki bilet kosztuje specjalnie dla ciebie kosztuje 15 zł

-W takim wypadku proszę go naliczyć

W mgnieniu oka zasiadła na Sali przesączonej wonią kwiatów szkarłatem kotar ,foteli i poświatą bijącą od białych marmurowych kolumn nawet na niej osobie nie związanej z teatrem ani trochę budziło to olbrzymi podziw. Ale prawdziwa błogość zaczęła się dopiero parę chwil później gdy zgasły światła a na scenę wkroczyli aktorzy. Najpierw skromny malarz później wielki lord , młody Dorian aż w końcu Sybil gdy tylko ujrzała gracie z jaką porusza się kobieta oniemiała. Była nią poruszona Sunąca jak łabędź po wodzie postać sprawiła że 'Sybil' nabrało brzmienia słodkiego niczym śpiew drozda. W tych paru minutach zatopila się cała nienawiść wyparowując z pamięci dziewczyny. Przez ten krótki moment poczuła się prawdziwie wielka.Autorytet nie musi być, ba najzwyczajniej nie jest wzorem wszelakich cnót. Wbrew pozorom jest jedynie człowiekiem, jak ty czy ja nie jest stworzeniem nieomylnym, także wysłuchaj, co ma do powiedzenia, ale pod żadnym pozorem nie powierzaj mu w pełni twojego życia, jeśli to zrobisz, nie będzie w nim już miejsca na ciebie.'

Piotr Maria Kaczmarczyk
ZSE im. Mikołaja Kopernika w Kielcach

NA ZGODY czyli pieśń o ulicy zwaśnionych czterech nazw, ludzi i podejść

Z dedykacją dla Turola – tego, co Pieśń o Rolandzie pisał:

Tobie Turoldzie te poświęcam słowa
Rycerzu poetycki, którego proza chwyta,
Ty walczysz i umierasz ciągle od nowa,
Kiedy twą Pieśń ktoś znowu odczyta!
„Kaźde słowa wypowiedziane przez wielkiego
człowieka stają się wielkim cytatem”

Piotr M. Kaczmarczyk

„Co?”

Karol Marks

„Pstro!”

Wergiliusz

I

Prowincjonalnych absurdów każda głowa pełna. Nie było inaczej u tych czterech, co spotkali się na Zgody. Starzy to byli przyjaciele trosk, radości, wzlotów, upadków i postojów również. Zgrana banda, jednak wszystko los osądził. Podzieliła ich ta jedyna z wieczystych religii, która nie miała swoich epizodów a w formy się raczej przebierała, ale o niej nie teraz.

II

Dnia na tyle pochmurnego, że z nieba cudem można było zerwać choć jeden promyk słoneczny a na tyle pogodnego, iż krople deszczu nie przypominały o sobie, doszło do przyjaciół ostatniego spotkania. Było to spotkanie na ulicy Zgody. Kłamcy piszą, że na tej ulicy dochodziło wcześniej do wielkich rozłamów, ale nie wiercie im, ich słowa lżejsze są od tchnienia, na aplauz podatne. Własną rodzinę mogliby słowem sprzedać dla chwili sławy. Bóg ich za to osądził! Prawdziwy rozłam stał się dopiero w owym pamiętnym dniu, kiedy zgromadzili się przyjaciele.

III

Pierwszy przybył ten, którego prawdziwego imienia nie wspomina się w pieśniach, więc

i ja tego nie uczynię, bo to pohańbiłoby obyczaj dobry i grzechem byłoby okrutnym. Dlatego będę go nazywał Jedynym Muzykiem w Tej Pieśni (w dalszej części „Jedyny”). Zna go prawie każdy, kto żyje i kto umiera w okolicach Kielc. Zasłynął z muzyki, na której się wychował i która przyniosła mu zgubę. Pierwsze lata życia postradał na strunowcu nie byle jakim. Miał on bowiem tylko dwie struny. Ach, piękny to był strunowiec! A zwali go Kefasem, od imienia tego, co chodził z Chrystusem. Sam „Jedyny” mówił: <<Słodki to jest instrument, dobrze mi służy!>> do tych słów zazwyczaj dodawał: <<Teraz robią takie badziewie...>>. „Jedyny” był jedyny w swoim rodzaju. Grał jak natchniony, jego ręka szarpała struny tak delikatnie, jak matka potrafi pieścić dziecko a jego głosowi nie dorównałby żaden inny bard w całym Świętokrzyskiem. Miał on jednak wadę - bo któż jest bez wady? Miłował nienawiść do nienawidzących jego miłości. Szerzył on brutalne poglądy na temat strunowców o ilości strun przekraczającej dwie. Krzyczał: <<Przeklęty niech będzie każdy, kto kompleksy leczy ilością strun! Dwie wystarczą w zupełności!!>>, po czym zazwyczaj dodawał: <<Teraz robią takie badziewie...>>. Nie spotykało się to z aprobatą innych bardów, ale przez wzgląd na jego sławę w świecie muzycznym nikt nie ważył się mu postawić. Jednak pewnego dnia jakby szatan wyszedł z jego strun i kazał mu przeciąć wszystkie niepotrzebne struny w województwie tak, aby w każdym instrumencie zostały tylko dwie. Nie zwlekał długo, gdy wszedł księżyc, wyruszył na nieodwracalne lowy. Zdażył w szale przeciąć tyle strun, ile gwiazd widniało na niebie. Tragiczna to była noc! Nie musiał czekać długo na odzew bardów. Na najbliższym swoim występie, kiedy był odwrócony do widowni plecami (tak miał bowiem w zwyczaju stroić Kefasa), zalała go tłumnie fala pogrążonych w smutku bardów i zabrała siłą instrument. Tanio go jednak nie sprzedał! Próbowal walczyć, ale bardów było zbyt wielu. Został spętany,

a jego instrument publicznie roztrzaskany w haniebnym sposób. Wielu ludzi ogarnęła rozpacz i wołali <<Wielka to strata!>> „Jedyny” zaś szlochął: <<Słodki Kefasie dumnie mi służyłeś!>>. Od tamtego wydarzenia imieniem „Jedynego” straszy się dzieci, które grają na instrumentach strunowych.

IV

Drugi w kolejności przyszedł dumny mówca Mar. Ludzie wierzyli w jego słowa bardziej niż w swoje czyny. Uczył się mówić od najlepszych. Demostenesa czytał zamiast Jutrznia, Cyncerona odmawiał w godzinie Nony, a Platona kontemplował w porze na Kompletę. Każdy kielczanin znał jego sztukę retorską. Ludzie często mówili: <<Mar wspaniały, ten od kamiennej dialektyki, nie znajdziesz mówcy, który by mu dorównał na ziemiach świętokrzyskich!>>. Jednak byli i tacy, przez których nienawiść przemawiała: <<Mar, despota! niech jego ciało spłonie na stosie a pył szybko zwietrzeje!>>. Byli bowiem śmiertelnie zazdrośni. Uknuli więc podstęp i zszargali dobre imię Mara. Niech ich piekło pochłonie! Przed debatą z prezydentem miasta na bardzo ważne tematy dla ludności, podmienili jego tablicę ze sloganami z dobrymi wiadomościami na podstępne frazy. Dyskusja była wzniosła. Padły na niej piękne słowa. Dwie strony walczyły zażarcie o to, kto będzie wysłuchany i zrozumiany. Kiedy jednak dyskurs schylał się ku końcowi, a obie strony były zmęczone, zaczął się ostatni panel dyskusji. Owy panel charakteryzował się podsumowującymi, krótkimi hasłami, które miały przypomnieć, kto przedstawiał jakie poglądy. Właśnie w tej części Mar został wzięty podstępem. Przez zmęczenie nie myślał o tym, co było napisane na sloganach, a czytał je bez namysłu. Na pytanie dotyczące wywózki śmieci wykrzyknął tylko: <<Darmowa dostawa do domu!>>, w pytaniu o kieleckie szkolnictwo, samobójczo stwierdził: <<Dwa minusy nie dadzą plusa!>>, a dobić miało go ostatnie, najbardziej dojmujące pytanie dotyczące pozycji finansowej kielczan, na które szybko dał odpowiedź: <<Oddajcie wszystko, co macie!>>. Po tych słowach jego autorytet wyzionął ducha... Od tamtej pory Marowi zawsze otwiera się szczyryk w kieszeni, kiedy mija budynki fiskusa.

V

Trzecim z czterech był Piot. Znany ze swoich miłosnych dokonań i długich złotych włosów, które wraz z jego moralnością chyliły się ku upadkowi. Był on bowiem od dziecka donżuanem. Już w czasie raczkowania zdobył niejedno serce swoim urokiem. Im dalej w las, tym częściej Eros siadał mu na Psyche. Szlachetny ten człowiek, wspomożyciel w utrapieniach kobiecych, zniszczony został przez protekcję mężów, nagonkę ojców i wzdarcę dziadów. Nieludzkie są oblicza tego świata! Przez wzgląd na jego dobroczynność, kobiety wołały: <<Żaden inny nie wysłucha tak jak on!>>. Piot, amant jakich mało, nie był w swych czynach jednak aktorem, kochał szczerze jak Orfeusz Eurydykę, jak Tristan Izoldę, jak Harpagon pieniądze! Sam jeden Bóg tylko kocha mocniej! Przegrał jednak z samym sobą. Było to w mieszkaniu pewnej prominentnej działaczki społecznej na rzecz walki z prześladowaniem otyłych jamników. Mąż owej kobiety wraz z innymi mężami rozumiał słabość Piota, która zaczynała się na dekolcie a kończyła w sypialni. Kiedy Piot rozmawiał ze wspomnianą kobietą, była noc. Na zewnątrz mróz zimniejszy niż samotne serca w długie letnie wieczory. Na strychu zaś siedziała gromada rozzłoszczonych mężów. Kobieta powiedziała: <<Chciałam chronić przed wzdarcą jamniki, a teraz mną wzdarczą za to, co robię. Mówią do mnie „nie ma sensu w twoich czynach!”>>. Piot odpowiedział zdjęty litością nad kobietą: <<Pamiętaj, prawdziwa dobroć to ta, której nie widać, ta która wszystkiemu przebacza i swoje cierpi>>. Działaczka nie z tego nie rozumiała, ale poczuła, że ktoś ją rozumie i wspiera. W tym samym czasie mąż przebiegły wraz z innymi mężami dorzucił do kominka drewna tak dużo, iż cały pokój zaczął się gotować. Zamknął drzwi od pokoju, w którym siedział Piot wraz z działaczką i począł czekać na nieludzkie efekty tego czynu. Działaczce zrobiło się gorąco i zaczęła stopniowo zdejmować kolejne warstwy ubrań. Pieśń nie wzdryga się prawdy i nie zna wstydu! Piot rozumiał tę sztuczkę i próbował uwolnić się z miłosnej pułapki poprzez wrywanie sobie kolejnych garści włosów z głowy. Nic to nie dało. Oszepecony rzucił się na kobietę, a ona na niego i poczęły całować się namiętnie. Wtedy mężowie, których liczebność szacowana była na trzystu, wyważyli drzwi i wzięli Piota na ręce i zerwali z niego szaty wołając: <<Zdrajco, synu niewolnicy, pewnie z innymi żonami czynisz to samo, nie ma dla ciebie miejsca w tym domu jak i domu Bożym!>>. Podstęp był niegodny nawet poganina, co czci bożki ze stali! Piot uboższy o piękne złote włosy i ubrania został wystawiony na mrozy śmiertelne. Udało mu się

jednak dotrzeć żywym do swej włości. Następnego dnia oszczerstwa rozprzestrzeniły się jak plaga po Kielcach i tak Piot stracił poważanie wśród kobiet, samotnej grupy mężczyzn i... jamników.

VI

Ostatni, o którym będzie mowa, to Frampt. Włodarz mieszkania na Zgody. Literat dumny i wysmakowany. Pisał tak wzniosłe, że nawet serca zatwardziały jak w Meriba, jak na pustyni w dniu Massa topniały. Pod ciężarem jego słów Helikon rozburzał się niczym licha garść ziemi. Kielczanie mówili między sobą: <<Nikt mu w piórze nie dorówna!>>. Była to prawda. Brzydził się on jednak prozy, gardził wierszem białym, zaś mowę wiązaną spowitą rymem umiłował od młodości i prędzej by padł trupem, niżby się jej wyrzekł. Mawiał często: <<Nie ma rymów, nie ma rymów!? Wolę słuchać rymowany skrzek wrony niż poezji bez rymów!>>. To go zgubiło. Na cotygodniowym wieczorze literackim wraz ze swoimi druhami odczytywali nowo zrodzone wierszyny. Wszystkie słodko płynęły po ich wargach. Jednak do spotkania dołączył niespodziewany człowiek, Izydor z rodu Fularów. On to przyniósł

Framptowi zagładę. Oby go ziemia wchłonęła i hańbą okryła jego imię! Począł gość, wedle zasady gościnnego pierwszeństwa, czytać swoje strofy. Ah, piękne by były, gdyby je rymem doprawić! Frampt znany ze swej raptowności rozpoczął szermierkę słowną z owym Izydorem i jego „bezrymiem”. Wszystko jednak na próżno. Gość okazał się prowokatorem i chciał jedynie zguby Frampta, znalazł on bowiem jego największą słabość. Kiedy Frampt w ramach dialogu literackiego składał piękne wiązanki, Izydor począł dolewać mu wina. Frampt mawiał: << To nie żadna drwina! Grzechem jest odmówić wina!>>. Pił więc wielki literat, a podstępny gość dolewał. Wraz z krwią rzedły jego rymy stopniowo zbliżając się do prozy. Za późno jednak zdał sobie z tego sprawę i stało się najgorsze. Frampt zaszczołał: <<Wzdrygałem się na sam widok prozy, a teraz ją popelniam...>>. Na domiar utrapień, swój honor splamił alkoholową grafomanią. Jego druhowie począli mówić: <<Wielka to tragedia na nas splywa!>> Nawet ci, którzy mu zlorzeczyli czuli doń litość i wołali: <<Tylko tak wielki człowiek mógł upaść aż na dno!>>. Hańba okryła jego imię tak, iż wiersze już się do niego nie przyznawały.

VII

Gdy wszyscy przyjaciele byli zebrani, gospodarz wstał i zaczął przemawiać: <<Marze, drogi przyjacielu i wielki mówco! Byłbym kontent, gdybyś rozpoczął nasze dzisiejsze spotkanie. Pomnij proszę na moją prośbę.>>. Mar mu na to rzecze: <<Bracie mój wielki, będę rad wypełnić twą prośbę. Nie wyobrażam sobie jednak rozpoczęcia bez akompaniamentu stosownego do tej chwili. Czy znajdzie się ktoś, kto zdusiłby ciszę pięknym brzmieniem?>> „Jedyny” poczuł, że to jego zadanie, ale potrzebował prawdziwie czulej zachęty. Piot patrząc serdecznie na „Jedynego” od serca zapytał: <<Drogi „Jedyny”, bardziej nad bardami, twa melodia samego Boga wzrusza i wprawia w zachwyt. Jeśli taka twa wola uracz nas nią, abyśmy mogli na ziemi boskiej doznać uciechy!>>. Te słowa rozochociły „Jedynego” i dając znak Marowi zaczął wzruszająco pogwizdywać, albowiem jak wiadomo utracił Kefasa. Mar uczuł, że to ten najodpowiedniejszy moment i z samej duszy najwzniosłej powiedział: <<Tak więc zaczynamy!...>>

VIII

Nie byłoby to spotkanie godne pieśni, gdyby nie obyczaj we włości na Zgody, które tego pamiętnego dnia nie zostały w pełni przestrzegane. Na owej ulicy bowiem, na 4 piętrze, szanowni panowie zaraz po rozpoczęciu spotkania zwykli zasiadać do okrągłego stołu i popijając wodę z granatem dysputować na tematy nie najzyczliwsze, bądź chociażby ważne, ale trapiące ich od serca, aż po sam rozum. Bez zbędnej wzniosłości, snobizmu i wyrzutu byli zazwyczaj zdolni rozmawiać godzinami. W pieśni kłamać się nie godzi, poszło coś nie tak!

IX

Wszystko jednak, co skończyło się tragicznie, zaczęło się niewinnie. Przyjaciele rozmawiali o tym, jak to ceny sztalug wzrosły przez inflację i czemu to wszystkim życie zatruwa. Dyskusję zaczęli toczyć również o muzyce „Jedyny” stwierdził: <<Błogosławieni ci, co żyli i umarli głusi, bo nie musieli słuchać awangardy!>> na co Frampt dodał ze śmiechem na twarzy: <<Oraz twoich zrządzeń>>. Piot wyciągnął w pewnym momencie szachy i nie zważając na utarczkę przyjaciół począł grać z Marem. Taka to przyjaciół była sielanka!

X

Lecz nagle do spokojnej atmosfery, wkradł się ten nieprzemijający znak wszystkich dziejów płonący wiecznie choć zawsze zgaszony, nie bojący się emocji, czynu i wzgardy, ponieważ z nich powstał i w nich ma swój kres, potrafiący kochając nienawidzić a nienawidząc kochać doszczętnie. Wszystko co było, przemineło, co jest, przemija, a co będzie przemienie, tylko pieśń i w niej problem schowany będą wieczne!

XI

Sytuacja nie była trudna, była zupełnie idiotyczna. Frampt zaczepiony łokciami o ramy okiennic, wpatrzony w dal, zaczął mówić z fajką w ustach: <<Jestem człowiekiem i wszystko, co ludzkie może być mi obce!>> na co Mar dodał myśląc, że jego druh żartuje: <<I vice versa!>> a Piot wtrącił zaniepokojony, bo już wyczuwał powagę sytuacji: <<Frampcie miły, czyż nie ustaliliśmy lata temu, jak się tu pierwszy raz zebraliśmy po naszych porażkach największych, że nigdy za żadną cenę nie wejdziemy w strój romantyczny po raz wtóry? Czyż nie tego właśnie się obawialiśmy? Z twoich warg uleciały przecież słowa: „A ze ścieżki romantycznej już prosta droga do melancholii! Albo gorzej... EGZYSTENCJALIZMU!” . Przeraziłeś mnie przyjacielu, nie cofaj się, bo spadniesz!>>. Frampt odwrócił się na chwilę spojrzeniem, jakim zając patrzy na swojego oprawcę i zaszlochął: <<Czepilem się mój drogi banału i ciężko się z tym pogodzić...>>. To były słowa pełne żalości! „Jedyny” w tym czasie spał. Niech mnie nabiją na pal, a ciało zhańbia, została mu chwila szczęścia! Mar począł chodzić nerwowo po pomieszczeniu. Chciał przemówić, ale nawet on (a największym był z mówców!) w tej sytuacji zaczął się jękać i zamilkł. Przelamał się jednak i głosem straceńca zapytał: <<O jak wielkim czynie mowa?>>. Frampt z sercem w gardle wykształcił te słowa: <<Tak wielkim, iż mnie do pyłu przyrówna a piasek będzie mi bliźnim...>>. Piot złapał się za skronie położył na ziemi i począł patrzeć na straceńca, który pociągnie go za sobą. Krzyknął Piot: <<Panowie wypiliśmy jednak z kielicha fałszywego!>> na co Mar dodał: <<Sam szatan by się nim strull!>>. „Jedyny” jeszcze o niczym nie wiedział. Fajka Frampta osądziła, ile czasu im zostało, a popiół, co się ostanie, symbolem był ostatniego z żywych. Frampt przemówił na tyle pożegnalnie, iż obrona była w tych słowach widoczna: <<Dostałem wiadomość od znanej instytucji, skusiłem się i nad tym ubolewam, ale już za późno...>> W tym momencie wielka nastąpiła dla kielczan strata, - Mar, co słowem armię mógł pokonać, powiesił się na żyrandolu. Niech mu Bóg pozwoli zasiadać wśród swoich archaniołów! Piot zaszlochął mocniej: <<Byłeś mi bratem, niech cię Bóg do siebie przyjmie, mój czas również jest policzony...>>. Frampt już prawie dopalając fajkę dał ostatni upust swojej duszy: <<Tak, zgubiłem nas przez konkurs literacki..., bo prawdziwie mały człowiek wywołał we mnie poczucie, że sam mogę stać się WIELKI. . .>>.

XII

„Jedyny” obudził się. Ogluszony słowami zdołał jedynie stwierdzić <<Sprzedałeś sztukę!...>>. Po czym dokonał żywota i zapadł w -tym razem- wieczny sen. Tak wielki człowiek już nie wstanie, wielu będzie go oplakiwać! Frampt wypuścił z ust fajkę, która upadła na ziemię i roztrzaskała się. Sam postąpił podobnie. Świat stracił dzisiaj trzech wspaniałych ludzi, a jednym z nich był on! Więcej wieści o losach przyjaciół i doniesień z ulicy Zgody która, niezgodą się splamiła, nie ma. Pisać dłużej więc nie ma już o czym.

XIII

Tak się kończyć godzi historię przyjaciół, którą Kaczmar pisał. Mara, retora znanego w powieście. Frampta, dumnego pisarza, poetę. "Jedynego", który ze śpiewu i grania zasłynął, oraz Piota, co się jeden sam ostał z czterech i o tych wydarzeniach mi doniósł, bym spisał je, jak najpiękniej potrafię i zachował pamięć o tych, co śmierć wybrali nad życie . Inaczej nie byłoby tematu do Pieśni!

Agata Łuszcz

III Liceum Ogólnokształcące im. C.K. Norwida w Kielcach

Na sali rozbrzmiewają pierwsze dźwięki piosenki. Z głośników unosi się melodia „Jeziora Łabędziego”. Moją rolą jest zagranie postaci Odetty – dziewczyny, która zaklęta została na królową łabędzi. To mój pierwszy występ konkursowy w kategorii baletu. Zaczynam czuć jak w moim ciele gromadzi się stres. To mój czas. Moment, na który tak długo czekałam. Razem z pierwszym krokiem zamykam oczy, biorę głęboki wdech i wsłuchuję się w muzykę. Cały układ zapowiadał się przebiegać idealnie, aż do momentu, kiedy wykonując jedną z ostatnich figur poczułam przeszywający moją nogę ból. Miałam wrażenie, jakby cały świat zamarł. Muzyka ucichła. Zamiast tego do moich uszu dobiega przerażony krzyk rodzicielki. Poczułam jak po moich policzkach spływają gorzkie, wielkie jak groch łzy, a z każdą sekundą coraz trudniej łapałam oddech.

- Mamo, to tak bardzo boli. Pomóż mi, proszę – udało mi się wyszeptać resztkami sił, kiedy leżałam w ramionach matki.

- Kochanie, nie zasypiaj. Pomoc zaraz będzie! – To ostatnia rzecz, którą pamiętam. Potem pozostała tylko głucha cisza, ciemność i ja.

Budzę się obłana potem, a w mojej klatce piersiowej czuję ucisk. Po raz kolejny nawiedza mnie koszmar z dnia, w którym moje kolano ucierpiało. Od tamtego czasu minęły niecałe trzy tygodnie, a wspomnienie nawiedza mnie notorycznie, podczas każdego snu.

Z trudem podnoszę się z kanapy znajdującej się w salonie. Musiałam tu usnąć, kiedy oglądałam kolejny sezon „Przyjaciół”. Doświadczam bólu tak ogromnego, że w moich oczach zbierają się łzy. Ignorując je sięgam po kule ortopedyczne, które są oparte o jeden z podłokietników mebla. Udaję się do mojej sypialni, która jest moją bezpieczną strefą.

Po pięciu minutach, które zdawałoby się trwały wieczność, docieram przed drzwi pokoju, naciskam na klamkę i delikatnie pcham je w głąb przestrzeni, bym mogła wejść.

Pomieszczenie jest urządzone w kolorach bieli i szarości. Na jego środku stoi dwuosobowe łóżko. Rama jest biała, natomiast narzuta na pościel jest w kolorach pudrowego różu. Aby dodać trochę niewinności łóżko zdobione jest mnóstwem poduszek i maskotek. Całość dopełnia delikatny baldachim. Ściana znajdująca się równoległe do łóżka wyklejona jest zdjęciami z przyjaciółmi, z zawodów i moich idoli. Miejsca jest coraz mniej, a zdjęć ciągle przybywa. Pod oknem stoi moja toaletka. Jest skromna, ale większej nie potrzebuję. Swoje ubrania trzymam w garderobie, o którą prosiłam rodziców przez długie, długie lata.

Podchodzę do łóżka, a ręką sięgam po pudelko, które znajdowało się tuż pod nim. Trzymałam w dłoniach pudelko, które sprawia mi ból – nie fizyczny, a psychiczny. Kiedyś było moim ulubionym pudelkiem, a teraz wręcz przeciwnie... Gdybym była w stanie pozbyłabym się go, ale nie zrobię tego. Ani dziś, ani jutro, ani za dwadzieścia lat.

Po raz pierwszy od wypadku decyduję się zajrzeć do jego środka. Boję się skutków, jakie przyniesie przejrzenie jego zawartości, ale czuję, że muszę to zrobić. Wiem, że nadszedł czas, by pokonać tę barierę. Taniec, to coś, co kocham i będę kochać już na zawsze. Nie odetnę się od niego. Był moją ucieczką od problemów, sposobem na odstresowanie, czymś, nad czym mogłam spędzić cały dzień.

Podnoszę wieczko pudelka i zerkam na jego wewnętrzną część. Widnieje tam cytat:

„Zachowaj tylko te wspomnienia, które dają ci radość.” Słowa te pochodzą z jednej z moich ulubionych książek – „Duma i uprzedzenie” autorstwa Jane Austen. Czytając te słowa uśmiecham się, a opuszkami palców przejeżdżam po literach. Odkładam je na bok i skupiam się na zawartości przedmiotu.

Pierwszą rzeczą, którą jestem w stanie ujrzeć jest wcześniej wspomniana książka. Biorę ją w dłonie i otwieram na pierwszej stronie.

Aurelio, dzisiaj jest dzień twojego pierwszego występu konkursowego. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Pamiętaj, aby zawsze robić to, co kochasz bez względu na zdanie innych.

Kochamy Cię Bardzo,

Rodzice.

Taka była treść wiadomości, która znajdowała się na jednej ze stron. Przed oczami pojawia mi się obraz z tamtego dnia. Ja – przebrana w kolorową sukieneczkę sięgającą mi przed kolana; włosy miałam spięte w dwa koczki, a dwa delikatnie zakręcone pasma wypuszczone

były na przód mojej twarzy. Fryzura została uzupełniona wczepieniem kolorowych piór. Na nogach miałam białe, aksamitne rajtuzy, a na stopach białe baletki.

Pamiętam każdą emocję, która mi towarzyszyła tego dnia. Podekscytowanie – w końcu to mój pierwszy udział w konkursie! Stres – nie mogę się potknąć, wszystko musi pójść idealnie.

Strach – a co jeśli...?

Miałam wtedy siedem lat, a wciąż pamiętam tyle szczegółów. Niesamowite jest to, że robiąc coś, co kochamy jesteśmy w stanie pamiętać każdą drobnostkę nawet po dziesięciu latach.

Do książki zostało włożone zdjęcie z moją grupą. Każda z nas wyglądała prawie identycznie, różniły nas tylko kolory piór we włosach. Na odwrocie zdjęcia widnieje kolejny cytat, który pochodzi z utworu, w którym była fotografia: „Myśl o przeszłości tylko wtedy, kiedy może Ci ona sprawić przyjemność.” Te słowa sprawiły, że uwierzyłam w siebie, a każdy kolejny wygrany konkurs był kolejną otwartą furtką do mojej przyszłej kariery tanecznej, która skończyła się szybciej, niż przypuszczałam.

- Aurelio – usłyszałam, w tym samym momencie, gdy rozległo się pukanie do drzwi, – co robisz, kochanie? – Unoszę wzrok znad trzymanej rzeczy i spojrzalam na rodzicielkę. Stoi oparta o futrynę drzwi. Jest naprawdę piękną kobietą. Mimo, że w tym roku kończy czterdzieści siedem lat, to wygląda na nieco młodszą. Zmarszczki pojawiają się jej tylko wtedy, gdy się uśmiecha; w okolicach oczu. Jej brązowe włosy idealnie kontrastują z głębią niebieskich oczu. Ma delikatnie zadarty nos, a usta pełne i malinowe. Nie należy do wysokich osób a swoją figurę każdego dnia podkreśla olówkową spódnicą, elegancką koszulą i butami na obcasie. Całość zawsze dopełnia biżuterią. Jej praca, jako urzędniczka, wymagała od niej eleganckiego stroju.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć moja mama znalazła się tuż obok mnie – zdecydowałaś się jednak tam zajrzeć? – kieruje pytanie do mnie z delikatnym uśmiechem, natomiast ja spoglądam w jej oczy. Zauważam w nich ból. Wiem, że jest jej przykro, bo nie mogę robić tego, co kocham. Zawsze była dla mnie nie tylko matką, ale także przyjaciółką. Odkąd pamiętam wspierała mnie w każdej podejmowanej decyzji. – Tak. Wiesz – zaczynam i proszę, by usiadła na łóżku – dziś po raz kolejny miałam koszmar. Rozmowy z terapeutą pomagają mi nie myśleć o całej tej sytuacji, ale nie na długo. Obudziłam się i czułam się tak, jak pierwszego dnia po wypadku - byłam w identycznym stanie. Ból w klatce piersiowej czułam tak, jakby ktoś zrzucił mi na nią ogromny kamień, zalałam się potami, kolano bolało tak, jak w dniu konkursu, myśli w mojej głowie były jednym, wielkim bałaganem. Wtedy odniosłam wrażenie, że jakaś dobra wróżka siada mi na ramieniu i szeptając namawia, bym poszła i zajrzała do tego pudełka, zadziałałam pod wpływem chwili. Boję się konsekwencji tego, ale mam nadzieję, że ta czynność przełamie pierwszą barierę, bym ponownie była sobą, choć w małej części. Nigdy już nie będę Aurelią sprzed wypadku. Nie będę nią, bo nie będę tańczyć – Moje oczy wypełniają się łzami. Kobieta bierze moje dłonie w swoje, jako gest wsparcia. – Taniec jest, a raczej był moją osobistą metaforą miłości. Dobrze o tym wiesz... Od siedemnastu dni nie tańczyłam, od siedemnastu dni czuję pustkę, od siedemnastu dni czuję, że z każdym kolejnym dniem tracę cząstkę siebie. Ja już tak nie mogę, mam – przy wypowiedzianiu ostatniego słowa mój głos całkowicie się załamał, a z moich oczu popłynęły łzy. Poczulałam obejmujące mnie, kobiece ręce i czule pocałunki składane na czubku mojej głowy.

- Nie znam dzielniejszej osoby od ciebie. Jesteś silna. Wiem, że jest ci ciężko. Kiedyś się ułoży, zobaczysz – łapie w dłonie moją twarz i zmusza do spojrzenia na siebie. – Może nie wrócisz do pasji, jako tancerka, ale może spróbujesz, jako choreografka lub trenerka. To, że nie możesz już tańczyć wcale nie oznacza, że nie możesz wiązać z tym przyszłości. Całe życie przed tobą kochanie. Nigdy się nie poddawaj – składa matczyne pocałunek na moim policzku i kieruje się do drzwi.

- Mamo – kobieta staje w pół kroku, odwraca się w moją stronę i spogląda na pytającym, ale jednocześnie troskliwym wzrokiem – dziękuję za wszystko i Kocham Cię.

- Też Cię Kocham, nie zapominaj o tym nigdy – opuszcza mój pokój, a ja sięgam po kolejną rzecz.

Kolejne zdjęcie, a do niego dołączona kartka - była to wyrwana kartka z pamiętnika. Pisałam go przed wypadkiem, a po każdej wygranej wyrwalam kartki, które dotyczyły lub kojarzyły mi się z danym konkursem. Na fotografii byłam ja z moim partnerem tanecznym, zaczynałam

wtedy przygodę z tańcem towarzyskim. Ubrana byłam w długą sukienkę. Jej góra była jasna, lekko wpadająca w róż. Rękawy miała do połowy przedramienia, a na nadgarstku mam założoną opaskę, do której przyłączony był satynowy materiał, który unosił się w powietrzu z każdym moim ruchem. Spódnica sukienki była różowa, a u dołu rozkloszowana. Dół stroju dopełniały białe, delikatne falbany. Kryształki znajdujące się na sukience wykończyły stylizację. Buty były różowe, delikatnie połyskujące na niewysokim obcasie. Włosy miałam spięte w ciasnego koka. Mój partner miał na sobie czarny garnitur oraz buty w takim samym kolorze. Jego koszula była różowa. W ten sposób chcieliśmy pokazać, że jesteśmy jedną drużyną. Włosy, które połyskiwały w świetle reflektorów, zaczesane miał do tyłu. W głowie pojawia się kolejne wspomnienie, uśmiecham się smutno i biorę kartkę, by móc ją przeczytać.

28.08.2014, Kraków

Drogi Pamiętniku!

To już dzisiaj! Nadszedł w końcu ten dzień, na który czekałam tak strasznie długo. Mój pierwszy konkurs w kategorii tańca towarzyskiego. Tańczyłam wczoraj z Jasiem – moim partnerem – do pierwszej w nocy. Chcieliśmy dopracować każdy krok, każde spojrzenie, każdy obrót. Chcemy wypaść idealnie, a ja nie mogę doczekać się, kiedy wreszcie będę już na miejscu. Ah, czuję się taka podekscytowana. Naprawdę! Nie czuję strachu, wiem, że wszystko pójdzie dobrze. Nie nastawiam się na wygraną. Jadę tam, by zdobyć nowe doświadczenie, by przyjąć krytykę jury i po prostu się bawić. Konkursy to nie tylko zwycięstwa i porażki. Jeśli wygramy – będzie cudownie, będę wtedy szczęśliwa. Jeżeli znajdzie się ktoś lepszy od nas, to będziemy ćwiczyć jeszcze, jeszcze więcej. Podjeżdżamy już po arenę, na której będą odbywały się rozgrywki. Odezwę się, kiedy będę wracać do domu. Aurelia.

Liczyłam, że dalsze wydarzenia także znajdują się w tym pudełku. Okazało się, że jednak nie. Pamiętam, że występ poszedł nam niezle. Początkowo razem z Jankiem zajmowaliśmy drugie miejsce. Wynikła jednak niekorzystna dla innej pary tancerzy sytuacja. Kobieta, która tańczyła, wcale nie była tą osobą, która została zgłoszona do konkursu. Poskutkowało to ich dyskwalifikacją. Pierwsze miejsce przeszło na nas. Przyjęliśmy nagrodę, lecz kiedy przyjmowaliśmy gratulacje od innych uczestników zwróciliśmy uwagę na pewną parę. Chłopczyk i dziewczynka nie mieli więcej niż osiem lat. Spojrzałam na Jasia, a on na mnie. Uśmiechnęliśmy się szeroko i podeszliśmy to dzieci wręczając im nasze medale i puchar. Poinformowaliśmy o tym prowadzących. Byli w ogromnym szoku, lecz za naszą prośbą ogłosili zmianę zwycięzców. Na samą myśl o tym, czuję się tak bardzo szczęśliwa. Wiem, że tym gestem wsparliśmy ich i zapewniliśmy wygraną w przyszłości. Z tego, co się orientuję zdobywają wysokie miejsca na ogólnokrajowych zawodach w kategorii junior.

Następnie jest stos zdjęć. Było tam mnóstwo przeróżnych fotografii. Z przyjaciółmi na konkursach, z zespołem tanecznym, z rodzicami. Widzę dużo znajomych twarzy, a w głowie przewijają mi się wspomnienia z nimi.

Docieram do dna pudełka, Nadszedł czas na najboleśniejsze wspomnienie. Nie ma zdjęć. Jest po prostu kartka, z rozmazanymi atramentem długopisu – to były miejsca, na które kapaly moje łzy.

01.02.2020, Warszawa

Drogi Pamiętniku!

Dzisiaj miało być pozytywnie. Miałam pisać o przejściu do kolejnego etapu zawodów. Wystawiałam po raz pierwszy balet. „Jezioro Łabędzie” było tym, co zakończyło moją karierę. Rano nie sądziłam, że tego dnia moje życie zmieni się o sto osiemdziesiąt stopni. Mój występ zapowiadał się idealnie. Do czasu... Kiedy wykonywałam jedną z ostatnich figur poczułam przeszywający moje kolano ból. Czulałam się tak, jakby ktoś wyrwał mi je i zmieniał jego umiejscowienie na siłę.

Czulałam ból i łzy spływające po mojej twarzy. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Ostatnią rzeczą, którą pamiętam są słowa mojej mamy: „Kochanie, nie zasypiaj. Pomoc zaraz będzie.” Potem była tylko ciemność, głucha cisza i ja. Nic poza tym. Obudziłam się kolejnego dnia w szpitalu. Jasność pomieszczenia razila mnie w oczy. Byłam podłączona do różnych urządzeń, które kontrolowały moje funkcje życiowe. Na krześle obok łóżka siedziała mama i trzymała

moją dłoń w tej jej. Na kanapie był mój starszy brat Staś i tata. W oczach każdego z nich widziałam przerażenie. Kiedy mama zauważyła, że już się wybudziłam, czym prędzej wezwała lekarza. Doktor znalazł się w sali chwilę później. Przeprowadził ze mną wywiad odnośnie samopoczucia. Zlecił pielęgniarce by wykonała mi szereg badań.

Po wykonanych badaniach, doktor czekał na wyniki. W momencie ich otrzymania, przybył do pomieszczenia, w którym byłam ja i moja rodzina. Ciężko było mu przekazać tę informację, bo wiedział jak ważny dla mnie był taniec. Z przykrością powiedział, że nabawiłam się poważnej kontuzji. Już nigdy nie będę mogła wrócić do tańca.

Każdemu, kto był obecny przy przekazywaniu tej informacji, poleciały łzy. Byliśmy świadomi, że koniec przygody z tańcem równa się końcowi czerpania radości z życia. Dziękuję, że byłeś moim przyjacielem. Mam nadzieję, że tak jak ja przeżywałeś każde wydarzenie z wpisu.

Tak, to ostatni wpis w moim tanecznym pamiętniku. Muszę się pożegnać, chociaż wcale nie chcę. Muszę zamknąć ten rozdział swojego siedemnastoletniego życia. Nie wrócę do niego już nigdy, więc czas powiedzieć do widzenia. Już na zawsze. Aurelia.

Wtedy już wiedziałam. To definitywny koniec z tańcem. To ostateczny koniec z bezgranicznym czerpaniem szczęścia. Terapia, na którą uczęszczam przynosi krótkotrwały efekt. Wiem, że nie dam rady tak dłużej żyć.

Odkąd mam koszmary, dostałam leki na sen. Budziłam się co noc, a potem nie mogłam ponownie zasnąć. Tabletki były schowane w mojej szafce nocnej. Wyjmuję telefon by napisać wiadomość,

Do: Mamusia

Idę spać, Kocham Was.

Wysyłam. Podchodzę do biurka, wyciągam kartkę i długopis. Zaczynam łączyć literkę po literce. Piszę list. Dla moich bliskich.

Mamo, Tato, Stasiu

Dziękuję za każde wsparcie, które od was dostałam. Dziękuję za rodzinne ciepło, którym nauczyliście mnie dzielić się z innymi. Wiem, że zdarzało mi się być nieidealną córką albo wścibską młodszą siostrą. Zawsze chciałam być dla was jak najlepsza. Przepraszam, że czasem nie robiłam tego, co kocham, bo bałam się opinii innych. Przepraszam za to, co zrobiłam. Nie bądźcie zli, tak będzie lepiej. Kocham Was bardzo i zawsze Was będę kochać najmocniej.

Wasza Aurelia.

Składam kartkę i kładę ją na szafce nocnej. Na dłoń wysypuję kilka tabletek i polykam je popijając wodą. Kładę się na łóżku i zasypiam. Nastaje ciemność.

Tak, jak Romeo nie mógł żyć bez Julii, tak i ja nie mogę żyć bez tańca.

Autorytet

Mieliście kiedyś poczucie, że upadacie i tracicie siebie? Ja - tak. Zaczyna się bardzo niewinnie. Przychodzicie do domu po dobrym dniu i zaczynacie się zastanawiać, gdzie w tym dniu byleś. Co zrobiłeś, czemu powiedziałeś to, a tego nie? Melancholia i poczucie pustki z każdym powrotem jest coraz większe. Boicie się być samemu, bo wtedy dopadają was myśli, których nie umiecie zatrzymać. I zaczyna się coś, co nazywa się uzależnieniem od ludzi. Nie wiem, czy jest na to naukowe objaśnienie, jakiś termin, nazwa? To jest moja własna obserwacja i wniosek. Zaczynacie tracić siebie, gdyż nie potraficie być sami w pewnej dobrej, pożądanej samotności. A podobno jedno uzależnienie prowadzi do kolejnych...

Wśród mojego otoczenia byli ludzie, których kochałam, nienawidziłam, ale byli też tacy, którzy mnie nie obchodzili. Kiedy należy się do grupy osób, które zawsze patrzą na innych z góry, po pewnym czasie nowe osoby nie mierzy się już swoją miarą, zaczyna się uważać, że nikt ci nie dorówna. Uzależniałam się od nich powoli, z każdym tygodniem coraz bardziej. Nie byli to źli ludzie, dobrzy też nie. Lecz ja widziałam w nich oparcie, a wręcz autorytet. Po pewnym czasie nawet nie musiałam się starać, żeby do nich pasować, stałam się częścią czegoś, co oni budowali bardzo długo. Nie widzieli, nie zauważyli, że wyrządzają mi ogromną krzywdę, że nie byłam już tylko częścią paczki, byłam ich częścią. Bałam się każdego wieczora być sama ze sobą w ciszy, gdyż wtedy przychodziły wyrzuty sumienia, myśli, poczucie winy. Najgorsze jest to, że cały ten czas wiedziałam, że nie robię dobrze, ale nie potrafiłam się od tego uwolnić. Bardzo się bałam, a to wszystko coraz mocniej mnie pogrążało.

W szkole, na korepetycjach, na kawie ze znajomymi zawsze byłam czysta, gdyż wtedy nie miałam potrzeby brać. Lecz gdy przychodziłam do domu, zawsze coś miałam. Wzięłam pierwszy raz, gdy uczyłam się na sprawdzian, jak się możecie domyślić, nie nauczyłam się, ale byłam w...już swoim... cudownym świecie. Bardzo mi się tam spodobało, było lepiej niż w domu przed komputerem, sama. Zaczęłam brać regularnie, raz na tydzień, potem dwa. Wiecie, kiedy zaczęłam brać codziennie, gdy uświadomiłam sobie, że nie potrafię bez tego funkcjonować. Nie nazwałam tego uzależnieniem. Nazywałam to bronią. Moją własną. Po pewnym czasie wszyscy zaczęli zauważać zmianę we mnie. Moi rodzice w domu, w weekend - moi znajomi, którzy wiedzieli, że już nie byłam tą wesołą dziewczyną. Wieczorami bujałam się w innym wymiarze, chciałam w nim być coraz częściej... Po przedawkowaniu znaleźli mnie rodzice. Wysłałam z tego, bo czasami, gdy chcesz już przejść do tego całkowicie innego a tak kuszącego świata, na zawsze, los daje ci drugą szansę. Wtedy przeklinałam mój los, gdyż zbyt dobrze wiedziałam, jak wykorzystam moją drugą szansę.

Odwyk, terapia i tak wymodlona przez rodziców moja czystość. Dobrze wiem, że mnie kochali, ale są takie chwile w życiu, że nie można na kogoś wręcz patrzeć, gdyż... za bardzo się go kocha. Oni ten okres mieli w wakacje. Oznajmili mi, że wyjeżdżam na trzy miesiące w góry. Myślałam, że to kolejna terapia, może tym razem miałam się dzielić moimi problemami z...hi, hi...naturą? Okazało się, że jadę do mojego dziadka, którego nie widziałam ponad dziesięć lat. Mieszkał sam, uchodził za dziwaka, ale tylko on z całej mojej rodziny pozwolił, żebym przyjechała. Oczywiście zaprotestowałam, planowałam być ze znajomymi, którzy, pomimo wszystko, bardzo mnie wspierali. Nie było mowy o żadnej dyskusji. Pojechałam, żeby trzy miesiące przeżyć w wariackowie, jakby w jednym domu jeden wariat to za mało. Nie powiem, nie stresowałam się, wiedziałam, że jeśli będę chciała, bardzo łatwo poradzę sobie z tatą taty, który był po siedemdziesiątce. Bez trudu takich ludzi do wszystkiego można przekonać. Wnuczka potrafi. Kiedy do niego przyjechałam, wręcz go nie poznałam. Siwe włosy, laska, zmarszczki... Podobno przez moje branie miałam się szybciej zestarzeć, choć miałam nadzieję, że nie aż tak. Myślałam, że dostanę porządną dawkę rozmowy pouczającej na początek, ale nic takiego się nie stało. Przez pierwszy tydzień nie

odezwał się do mnie ani słowem. Było to dla mnie bardzo dziwne, ale poszedł mi z tym na rękę, gdyż nie miałam ochoty z nim rozmawiać. Wszystko naprawdę byłoby super, już nawet

szukałam w pobliskim miasteczku dilerów, gdyby nie to, że po dwóch tygodniach stało się coś dziwnego. Zaczęło się od tego, że dziadek włączał po nocach telewizor i puszczał kasety, nie oglądałam ich. Gdy ustal telewizor, zaczął puszczać muzykę na gramofonie. Nie słuchałam jej. Aż wreszcie pewnego razu przyszedł i powiedział, że coś dla mnie ma. Była to tabletką zawinięta w papierek. Położył ją na biurku i rozkruszył swoją laskę. Powiedział wtedy, że jeśli mam ochotę, mogę to wziąć, ale jeśli tego jutro nie będzie, on też weźmie działkę. Byłam w takim szoku, że nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Wyszedł i włączył, jak to miał we zwyczaj, kasetę. Poszłam sprawdzić, co ogląda, była to kasetę ze ślubu jego z babcią. Śmiał się i nawet podśpiewywał piosenki. Potem włączył jakąś muzykę na gramofonie i zaczął tańczyć. Rozkojarzona i wzruszona stałam przy ścianie. Coś, co sprawiało, że zawsze stawiałam na moich znajomych, nagle pękło jak gramofonowa, krucha płyta. Wiedziałam już, że to, iż zawsze myślałam, że są wyżej nad innymi, oznaczało tylko to, że wdeptując innych w ziemię, wykazywali się tchórzostwem, to oni byli mali. Dziadek wziął mnie do tańca, kręciłam się i zrozumiałam, że on to robi codziennie. Mierzy się z czymś, co nazywa się samotność, z czymś, co doprowadzało mnie do upadku. On nikogo nie potępiał, nikogo nie oceniał, ale przy tym był tak godny szacunku i naśladowania...

Zdmuchnęłam razem z nim proszek na moim biurku i wtedy też zdmuchnęłam resztę mojego bólu, który zrodził się z samotności i tego, że nikt nigdy nie pokazał mi, jak być sobą w świecie nieróżnorodności. Wiedziałam, że nie będzie mi łatwo, ale otwarłam drzwi do nowego etapu życia. Dziękuję ci, dziadku.

Kinga Sendys

VI Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego w Kielcach

Dwóch

Wszedłem do jej pokoju. Jednak nie poczułem zwyczajowego ciepła. Podniosłem wzrok. Wszystko wydawało się martwe i zimne, takie szare. Spojrzałem na matkę a przed oczami mignęła mi jej twarz, twarz w krwawych ranach z oczami otwartymi w przerażeniu. Zamarłem, chciałem krzyknąć. Nagle poczułem ciepłe dłonie na twarzy. Zamrugalem. - Witaj kochanie, cieszę się że znów przyszedłeś - powiedziała. Znów otuliło mnie ciepło a ona jaśniała jak zawsze. W oczach zebrały mi się łzy a ja wtuliłem twarz w jej suknię. Zaskoczona zaśmiała się. - Też cię Kocham - powiedziała głaszcząc mnie po głowie. Uwielbiałem to... Ciężko przelknąłem ślinę zaciskając dłonie. Uniosłem głowę i twardo spojrzałem na drzwi. Mocno je pchnąłem. Przed moimi oczami ukazała się wielka sala, w której tuż naprzeciwko drzwi stał wyniosły bardzo ozdabiany złotem tron. A na nim siedział mężczyzna, którego włosy już przyprószyła siwizna, a w kącikach oczu zebrały się zmarszczki. Jego zimne jak lód oczy spoczęły na mnie z obojętnością. Podniosłem głowę próbując pokazać swą wyższość jednak on wiedział, że ma przewagę. Był ubrany w czarne szaty bogato zdobione jak przystało na władcę lenna. Westchnąłem. - Chciałeś mnie widzieć, ojciec - powiedziałem, a mój głos poniósł się echem po opustoszałej sali. Nie lubiłem tego. - Tak, synu podejdź bliżej - zaczął wyciągając rękę w niby przyjaznym geście. Z trudem udało mi się poruszyć ciało. Im bliżej niego byłem tym bardziej czułem chłód od niego bijący. Wzdrygnąłem się jednak mój wyraz twarzy pozostawał obojętny. Gdy stanąłem tuż przed nim wstał górując nade mną. Spojrzałem na niego nieznacznie podnosząc wzrok. Usta miał zaciśnięte w wąską kreskę, która przypominała obrzydliwą bliznę. - Mój synu, pierworodny, muszę cię wysłać z delegacją - powiedział prosto z mostu. Rozszerzyłem oczy otwierając w zdziwieniu usta - Wiem, ale jest to specjalna delegacja do króla. Jest to tajne, dlatego jedynie ciebie mogę tam wysłać - powiedział kładąc ciężką dłoń na moim ramieniu. Kolana lekko mi się ugięły. - O ojciec... - zacząłem jednak jego zimny wzrok mnie uciszył. - Wyjedziesz jeszcze dzisiaj w nocy - powiedział po czym złapał mnie za włosy. Poderwał moją głowę zmuszając do spojrzenia w oczy. Syknąłem cicho. - Masz wypełnić swój obowiązek. Spojrzałem w lustro oceniając swój wygląd. Nadal nie mogłem się otrząsnąć z sytuacji z przed chwili. Czarne spodnie oraz koszula dobrze przylegały do mojego ciała. Przy żadnym ruchu tkanina nie wydała nawet najmniejszego dźwięku. Szybko narzuciłem kaptur na głowę. Naciągnąłem go bardziej gdy otwierałem drzwi. Owiało mnie chłodne powietrze. Słońce jeszcze oblewało krwawą barwą horyzont. Dziedziniec był pusty. Jedynie koło stajni znajdował się czarny wierzchowiec przywiązany do belki. Cicho przebiegłem przez plac. Delikatnie pogłaskałem klacz po chrapach. Zarżała na powitanie na co się uśmiechnąłem. Szybko ją odwiązałem i ruszyłem do bramy. Rozejrzałem się w poszukiwaniu strażników jednak żadnego nie zauważyłem. Wzruszyłem ramionami. Było to lenno, w którym rzadko zdarzały się bitwy, więc i nie bardzo się przykładaliśmy do obrony zamku. Prychnąłem na myśl o tym niedopatrzeniu. Cicho otworzyłem małą furtkę i wyprowadziłem przez nią konia. Odwróciłem się do klaczy zamykając drzwi. - Czas na nas, Karin - powiedziałem po czym wskoczyłem na siodło. Bezszelestnie ruszyliśmy boczną drogą. Musiałem unikać głównych szlaków więc pozostawało mi jedynie poruszanie się lasem. Czas w drogę. Westchnąłem pocierając kark. Zdążyłem już zapomnieć jak to jest spędzać wiele godzin w siodle. Spojrzałem w niebo i ujrzałem delikatne zaczerwienienie na horyzoncie. Uśmiechnąłem się do siebie i rozejrzałem dookoła. Znajdowałem się na dróżce leśnej prawdopodobnie wydeptanej przez zwierzęta.

- Chyba czas zrobić sobie przerwę, Karin - powiedziałem do klaczy na co odpowiedziała cichym rżeniem - Poszukajmy jakiejś polany albo strumyka - powiedziałem. Chwile jeszcze jechaliśmy przed siebie nie mogąc znaleźć odpowiedniego miejsca. Pociągnąłem za wodze prowadząc konia w bok trasy. Bez przeszkód weszliśmy w zarośla i ruszyliśmy dalej.

- Odjedziemy trochę od drogi na wszelki wypadek - powiedziałem bardziej do siebie niż do klaczy. Szybkim ruchem zeskoczyłem z konia. Mruknąłem z przyjemności rozciągając nogi.

Przeciągnąłem się przysmykając oczy. - Dobra czas się brać za jedzenie - powiedziałem

zacierając ręce. Podeszedłem do Karin po drodze głaszcząc ją po chrapach. Rozluźniłem pas przy siodle i otworzyłem małą torbę przypiętą do niego. Wyciągnąłem buklak i małe zawiniątko - To będzie krótki postój - zacząłem objaśniać Karin jednocześnie podając jej buklak. Lekko go przechyliłem tak by woda wpadała prosto do jej pyska. Poklepałem ją i podałem jabłko. Następnie sam się napiłem siadając na ziemi. Otworzyłem zawiniątko i ujrzałem parę plasterów suszonego mięsa. Bywało gorzej. Pomyślałem wzruszając ramionami i zabrałem się za jedzenie. Mięso było przesolone i gumowe ale pożywne. Chwile siłowałam się z jednym kawalkiem aż w końcu oderwał się od reszty. Westchnąłem. Nie chciało mi się z tym walczyć. Zjadłem minimum potrzebne mi na kolejne godziny drogi. Przetarłem twarz kładąc tobolek na kolanach. Musiałem być czujny. W dzień byliśmy bardziej odsłonięci. Westchnąłem, byłem zmęczony. Przymknąłem oczy próbując jeszcze odpocząć przed podróżą. Usłyszałem dziwny dźwięk za sobą. Kucnąłem w krzakach próbując się schować. Przed kim? Przed kim się chowałem? To nie było teraz ważne. Muszę to przeżyć. Muszę zakończyć misję. Ścisnąłem w dłoni Saksę, nóż jaki dostałem w prezencie jako doświadczony zwiadowca. Już nie raz uratował mi życie. Teraz również miał spełnić tę rolę. Zamarłem w bezruchu licząc, że dzięki mojemu zielonemu płaszczu wtopię się w tło. Gdzieś podświadomie wiedziałem, że to nie może zadziałać. W końcu walczyłem przeciwko NIM. Kim byli? Mentalnie potrząsałem głową odganiając myśli. Skupiłem się na oddechu próbując wymazać swoją obecność. Dziwny odgłos powtórzył się, tym razem bliżej. Zaciśnąłem zęby. Tuż zza zarośli, na które patrzyłem wyłoniła się pokaźna sylwetka. Wstrzymałem oddech czując niewyobrażalny strach. Ale dlaczego? Dlaczego się tak boję? Pomyślałem desperacko. Przecież nie wiedziałem kim on był, co robił ani czy mnie szukał. Nie wiedziałem kompletnie nic. Nagle czarne jak smoła oczy zawiesiły się na miejscu, w którym się kryłem. Przelknąłem ślinę wiedząc, że to co robię jest głupie. Powiniennem uciekać. Mężczyzna odsłonił zęby w krzywym, nieprzyjaznym, wilczym uśmiechu. Wyglądał jak lowca, który dopadł swoją zwierzynę. - Wiem, że tam jesteś. Kończmy już zabawę w berka! - krzyknął. Zaczął się zbliżać, na co zamarłem. Jednak zanim zdążyłem zrobić cokolwiek mężczyzna znalazł się tuż przede mną. Jego twarz była tak blisko mojej, że mogłem zobaczyć głęboką pustkę w jego oczach. Zanim zdążyłem krzyknąć nóż wypadł mi z dłoni - Mam cię! - powiedział uśmiechając się szyderczo. A wszystko to trwało jedynie parę sekund. Normalny człowiek nie jest w stanie poruszać się tak szybko! Kim on do diabła jest?! Pomyślałem po czym poczułem dziwne ukłucie w szyję. Zanim zdążyłem zareagować poczułem się słabo. - Co.. ty... mi .. zro.. ? - wyszeptalem opadając z sił. Poczułem jeszcze jak mnie podnosi po czym zapadła ciemność. Poczułem coś mokrego na twarzy na co się skrzywiłem. Zamarłem przypominając sobie co się wydarzyło. Gwałtownie poderwałem się na równe nogi, co jedynie spowodowało, że zakreśliło mi się w głowie. Na usta cisnęło mi się przekleństwo jednak zanim je wypowiedziałem ze zdziwieniem zauważyłem pysk Karin tuż przed twarzą. Szybko łącząc fakty dotknąłem jeszcze wilgotnego policzka. Co, koń? Rozejrzałem się rozbieganym wzrokiem jednak nie dostrzegłem śladów walki. To miejsce nie wyglądało tak jak tamto. Westchnąłem. To był tylko sen. Pomyślałem z ulgą przykładając dłoń do czoła. Zaczekałem na co koń zarżał i podeszedł do mnie. Trąciła mnie w ramię na co na nią spojrzałem. Uśmiechnąłem się i słodkim głosem powiedziałem. - Już będziemy jechać - w odpowiedzi usłyszałem ciche prychnięcia jednak bez żadnych przeszkód pozwoliła sobie zapiąć siodło. Z powrotem włożyłem zawiniątko z prowiantem i buklak do torby po czym gładko wskoczyłem na siodło. - Czas na nas - powiedziałem po czym poprowadziłem nas przez coś co jeszcze mniej przypominało drogę niż ta, którą jechaliśmy wcześniej. Karin zarżała w proteście jednak po upomnieniu ruszyła przed siebie. - Wiem, też wolalbym tu zostać i odpocząć - wyszeptalem garbiąc się w siodle.

Spojrzałem w niebo. Sądząc po pozycji słońca jechaliśmy już parę dobrych godzin. Spojrzałem przed siebie zmęczonym wzrokiem. Ale z drugiej strony wcale nie posunęliśmy się tak bardzo do przodu. Westchnąłem i pogłaskałem Karin po grzywie. Uśmiechnąłem się na myśl jak niewinnie wygląda. Niestety albo raczej na szczęście, była wyjątkowym koniem. Specjalnie szkolonym do takich misji, na której właśnie byłem. Zasługiwała na więcej niż podróże ze mną. Nagle potrząsnęła głową sprawiając, że jej grzywa opadła na drugą stronę

szyi. Nasz znak. Zmrużyłem oczy osłaniając je ręką. Promienie słońca na chwilę przebiły się przez gęstwiny i oświetliły ścieżkę. Za chwilę południe. Ścisnąłem kolana powodując, że Karin się zatrzymała. - Robimy postój - oznajmiałem ale nie zamierzałem zsiadać. Bez poruszania głową rozejrzałem się. Niestety nie byłem w stanie zobaczyć co mam za plecami. Niezauważalnie dotknąłem kolaniem jej boku. Czując to od razu zaczęła się obracać wokół własnej osi. - Spokojnie! Spokojnie! - mówiłem jednak ruchem kolana zaprzeczając swoim słowom. Nagle kątem oka zobaczyłem ruch w gęstwinie. Wyprostowałem się powodując, że Karin się zatrzymała. Przerzuciłem nogę przez konia i zeskoczyłem. Dyskretnie otworzyłem sakiewkę z nożami za pasem. Udając zmęczonego przeciągnąłem się. - Pójdę za potrzebą, zostań tu - powiedziałem niedbale i ruszyłem w kierunku intruza. Gdy tylko zniknąłem między drzewami rozejrzałem się. Jednak nic nie widząc zacisnąłem szczękę. Dlaczego nie mogę go wyczuć? Otworzyłem szerzej oczy rozumiejąc. Jednak było już za późno. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić poczułem mocne uderzenie w klatkę piersiową. Siła ta powaliła mnie na ziemię. Upadłem z głuchym loskotem wypluwając powietrze z płuc. Sięgnąłem po nóż z sakwy. Jednak gdy już miałem go podnieść poczułem ciężar na ramieniu. Syknąłem. - No proszę, kogo my tu mamy? - usłyszałem zachrypnięty głos. Spojrzałem wściekły na osobę, z którą przegrałem zanim zacząłem walczyć. Jeden z jego ciężkich buciorów znajdował się na mojej ręce. Spróbowałem się poderwać jednak poczułem ciężar na klatce piersiowej. Stęknąłem uderzając o ziemię. - A gdzie to się wybieramy - powiedział a jego usta ozdobił okropny uśmiech. - Kim jesteś? - zapytałem czując coraz większy ciężar na klatce piersiowej. Poddaj się. Nie walcz. Nagle usłyszałem głos. Mój własny głos. Otworzyłem szerzej oczy panicznie rozglądając się dookoła. - Pytasz kim jestem? Cóż niedługo się przekonasz - powiedział mężczyzna. Czulem straszny ciężar na klatce piersiowej, nie mogłem oddychać. Ze świstem wciągnąłem powietrze czując się coraz słabiej. Przed oczami zaczęły mi tańczyć mroczki. - Spokojnie, jak się obudzisz wszystko ci się rozjaśni - usłyszałem po czym zapadła ciemność. Dopiero wtedy dotarło do mnie. To było prawdziwe ... Powoli otworzyłem oczy. Przez powieki ostro wdarł się blask świateł. Zdziwiony zamrugałem próbując przyzwycząć oczy do światła. Widząc szary sufit oraz nieznanne pomieszczenie szybko poderwałem się do siadu. Poczułem jak kręci mi się w głowie na co zacisnąłem powieki. Nagle usłyszałem ciche mamrotanie po czym spojrzałem w tamtych kierunku. Zobaczyłem nieznanne twarze z przerażeniem i szczęściem wymieszanym na twarzy. Zmarszczyłem brwi nic nie rozumiejąc. Jakaś kobieta ubrana w kosztownie wyglądającą suknię poderwała się ze swojego siedzenia i podbiegła do mnie. Placząc zawiesiła się na mojej szyi i wtuliła twarz w klatkę piersiową. - Tak się cieszę, że wróciliście! Martwiłam się - wyszlochala. Siedziałem nie wiedząc co zrobić. Po chwili ocknąłem się i położyłem słabe dłonie na jej ramionach. Delikatnie odsunąłem ją od siebie. - Przepraszam - zacząłem zachrypniętym głosem - Ale... kim jesteście? - zadałem pytanie, które od jakiegoś czasu mnie nurtowało. Ich twarze ściągnęły się w przerażeniu po czym wymienili się spojrzeniami. Starszy mężczyzna westchnął tak jakby spodziewał się tego pytania. Spojrzał mi w oczy ze zmartwieniem. Ojczy, matko? Co się dzieje? Ale... zaczniemy od tego co stało się.. we mnie. To będzie opowieść o tym jak zostałem największym zwiadowcą, a raczej co mnie przez to spotkało. Powoli otworzyłem oczy budząc się. Przetarłem twarz próbując się rozbudzić do końca. Odrzuciłem ciepłą koldrę i zsunąłem nogi na zimne kafelki. Ociężale podniosłem się i przeciągnąłem. Spojrzałem w małe lustro stojące w kącie pokoju. Ujrzałem w nim blondwłosego chłopaka z za długimi włosami sięgającymi poza ramiona. Jego zazwyczaj lśniące fale były teraz skołtunione i nieulożone. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i rozgoryczenie. Szare oczy były lekko zamglone a usta suche. Odwróciłem wzrok nie chcąc tego widzieć. Szybkim krokiem udałem się do komnaty matki. Gdy tylko otworzyłem drzwi poczułem przyjemne ciepło. Uśmiechnąłem się. - Witaj matko - odezwałem się wchodząc do pomieszczenia. Było ładnie urządzone, po królewsku. Tak bardzo w jej stylu. Na małym taborecie tuż przy toalecie siedziała młoda kobieta, którą znałem matką. Jej czarne włosy gładko opadały na plecy lekko zwijając się w fale, czoło zdobiła delikatna kryształowa tiara podkreślając jej ciemne oczy. Widząc mnie wstała szeleszcząc bogato zdobioną suknią. - Witaj synu - powiedziała rozkładając ramiona. Mój uśmiech jedynie się poszerzył na co odpowiedziała zamknięciem oczu w radości. Jednak ta chwila nie trwała długo. Matka rozczesała moje włosy, które zaczęły lśnić tak jak zawsze. Następnie odziała mnie w

niebieskie szaty lekko zdobione złotą nicią. Jednak lubiłem je. Gdy skończyła ucałowała moje czoło po czym pożegnaliśmy się. Miałem dużo obowiązków, pomachałem jej na pożegnanie po czym szybko udałem się do komnat mistrza. Moje serce przepelniał niepokój i dziwne niewyjaśnione przeczucie. Wszedłem w korytarz na którym znajdowały się jego komnaty. Podniosłem rękę by zapukać. Nagle zobaczyłem chłopca na końcu korytarza. Zatrzymałem się nie pamiętając kim on był. Dziecko zaśmiało się i pomachało mi. Pobiegł w jeden z ciemniejszych korytarzy. Zdziwiłem się nie wiedząc czemu nie zaświecono tam świec. Jednak wiedziony przeczuciem, pobiegłem za nim. W miarę oddalania się od komnat mistrza moje serce stawało się coraz lżejsze. Złe uczucie niepewności ustępowało. Chłopiec wbiegł do jednej z nieznanych mi komnat. Niepewnie szedłem za nim. Zajrzałem do pomieszczenia jednak nikogo poza nim tam nie było. Wszedłem. Otworzyłem szerzej oczy. Przerażenie wymalowało się na mojej twarzy. W moim sercu zaczęła formować się niepewność. Chłopiec bez wahania podszedł do lustra, jednak jego odbicie się tam nie pojawiło. Z trudem przelknąłem ślinę nie mogąc się poruszyć. Nagle dziecko dotknęło tafl i jego palce gładko przeszły przez nią. Chwilę później pojawił się po drugiej stronie lustra. Ze śmiechem odwrócił się do mnie, po czym... - Oddychaj! - Pochyliłem się gwałtownie łapiąc oddech. Mój mistrz. Spojrzałem na starego człowieka ze zmartwieniem stojącego nade mną. Niepewnie rozejrzałem się. Byłem w jego komnatach. Spojrzałem w lustro, to samo lustro. Jednak ujrzałem jedynie swoje odbicie. Znów byłem tym zaniedbanym chłopakiem patrzącym ze smutkiem na świat. Przymknąłem oczy i zacisnąłem zęby próbując o tym nie myśleć. - Hej - usłyszałem cichy, dziwnie znajomy głos. Zmarszczyłem brwi i niepewnie rozejrzałem się po pomieszczeniu. Mój wzrok zawiesił się na lustrze, w które teraz się wpatrywałem. Podszedłem bliżej a moje odbicie podążyło za mną. Zwykle lustro, czym się tak przejmowałem? Pokręciłem głową i dotknąłem odbijającej tafl. Nagle odskoczyłem ze strachem. Moje odbicie, wpatrywało się we mnie. Jednak ja chowałem się za skrzyżowanymi rękami natomiast ono... ono stało pewnie, wyprostowane z wyzwaniem w oczach. - C co jest? - szepnąłem do siebie czując narastający strach w sercu. Moje odbicie przechyliło głowę z ciekawością mnie obserwując. Otworzyło usta jakby chcąc coś powiedzieć. Rozszerzyłem oczy do granic możliwości, chciałem krzyżeć. Tak bardzo a jednak nie mogłem. - Hmm - usłyszałem. Dźwięk pochodził tak jakby od lustra. Z przerażeniem wpatrywałem się w odbicie oczekując jego ruchu - Nie obwiniasz się? - zapytało wprost. Zamarłem. Winny? - Co? Dlaczego miałbym się czuć winny? - zapytałem zbity z tropu. O co mu chodziło? Kim tak właściwie był? Może mnie z kimś pomylił? Zadawałem sobie te pytania zapominając z czym mam do czynienia. A mianowicie, lustrem. - Wiesz, w tego typu sytuacjach ludzie zazwyczaj czują coś na wzór... odpowiedzialności - odezwowało się przechylając głowę i patrząc na mnie na skos. - Jakich sytuacjach? - pytałem dalej próbując sobie przypomnieć co zrobiłem. Dlaczego mam się czuć winny? - Wypadkach - odpowiedział na co podniosłem wcześniej opuszczony wzrok. Mężczyzna w czerni... Jednak... już nie ujrzałem tamtego chłopaka. Moje odbicie wróciło do normalności. Chwilę stałem na środku pokoju nie wiedząc co zrobić. Nagle drgnąłem. No tak, przyszedłem do mistrza. Pomyślałem. Jednak ten popatrzył na mnie i powiedział jedynie - Lepiej idź spać - Z uśmiechem na ustach odgarnąłem koldrę po czym położyłem się do łóżka. Tak, to było najlepsze wyjście z sytuacji. Nawet po tym... od razu usnąłem. Jednak nie był to miły sen. Ciężko przelknąłem ślinę. Spojrzałem w stronę lustra. Nic tam nie ujrzałem. Zwariowałem. Potrząsnąłem głową... Nagle wszystko zgasło. Znalazłem się w ciemnym miejscu, nic nie widziałem. - Co się dzieje? - zapytałem sam siebie. Złapałem się za ramiona czując chłód. Słyszac kroki odwróciłem się w ich kierunku. - Co?! - krzyknąłem przerażony. Z rozmachu zrobiłem krok do tyłu. Zaskoczony nie poczułem nic pod stopą. Z okrzykiem zaskoczenia upadłem. Gdy tylko moje ciało dotknęło ziemi rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Z krzykiem przebiełem się przez powierzchnie i zacząłem spadać. Czy ja śnię? Hej! Chciałem krzyżeć. Hej! Niech ktoś mnie uratuje! Jednak z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Wyciągnąłem dłoń próbując się czegoś złapać. Nagle uderzyłem mocno o ziemię. Moje ciało odbiło się od niej i opadło ponownie. Stęknąłem czując ból. - Wypuść mnie - usłyszałem znany mi głos. Spojrzałem przed siebie. Miałem wrażenie że patrzyłem w lustro. - Kim jesteś? - zapytałem zbity z tropu. - To ja, prawdziwy ja! Oddaj mi je - krzyknął do mnie. Na jego twarzy malowała się rozpacz. Potrząsnąłem głową nic nie rozumiejąc. - Jak prawdziwy? Nic nie rozumiem, wszystko się

mieszał - krzyknąłem prawie płacząc. Co tu się dzieje? - Co mam ci oddać?! - zapytałem rozpaczliwie szukając odpowiedzi. - Zabrałeś mi je, wyrwałeś z rąk - odpowiedział - moje życie. Ukradłeś i wziąłeś dla siebie. Proszę... oddaj mi je - prosił. Niemal błagał. W jego oczach malowały się łzy... a ja. Ja wiedziałem, że mówi prawdę. Czulem, że coś było nie tak. Moje idealne życie, nigdy nie było moim życiem. - Proszę uwierz, minęło tak dużo czasu. Proszę... inaczej zniknę, przepadnę. Umrę - ostatnie zdanie wyszeptał łapiąc się za włosy. Był równie zagubiony co ja. - Co mam zrobić byś mógł wrócić? - zapytałem. Nagle chłopak, znaczy prawdziwy ja, zamarł. - Zrobisz to, oddasz mi moje życie? - zapytał niepewnie. Jego głos zdradzał ton nadziei. Uśmiechnąłem się smutno. - Przecież to twoje życie, ja już nażyłem się tym idealnym życiem. Marzenia powinny pozostać marzeniami – odpowiedziałem. Popatrzył na mnie ze łzami w oczach. - Żebyś mógł wrócić musisz zniknąć - zaczął na co drgnąłem. Widziałem, że dręczy go ta wizja. Uśmiechnąłem się pocieszająco. – Rozumiem - powiedziałem jedynie. Powoli podniosłem się z ziemi i rozejrzałem po przestrzeni. - Gdzie my jesteśmy? - zadałem nurtujące pytanie. - To nasz umysł - odpowiedział pewnie. Spojrzałem mu w oczy. - Skoro tak - zacząłem – czy mogę po prostu odejść? – zapytałem. - Nic nigdy nie było idealne - szepnąłem po czym spojrzałem w pustkę formującą się za mną. Prawdziwy ja patrzył z przerażeniem. Naprawdę byłem tak słaby? Czy może starał się to jedynie okazać w ostatnich chwilach Mojego życia. Wzruszyłem ramionami stwierdzając, że nie muszę tego wiedzieć. Uśmiechnąłem się ostatni raz po czym skierowałem swoje kroki w czerń. Widziałem jak powoli znikam. Pustka mnie pochłaniała. Westchnąłem z ulgą. - Dziękuję za wszystko - powiedziałem a przed oczami zaczęło robić mi się ciemno. - To ja powinienem dziękować - usłyszałem po czym usnąłem. Na zawsze. Odszedłem z uśmiechem na ustach. A przynajmniej miałem nadzieję, że właśnie tak to wyglądało.. Kocham cię, matko. Dla ciebie zrobiłbym wszystko. Również pozwolił ci odejść. Poderwałem się mrugając, nie mogąc uwierzyć co się stało. Jestem chory. Tylko taka myśl pojawiała się w moim umyśle. Z przerażeniem spojrzałem na dwie postacie siedzące przy moim łóżku. Matko, ojciec nie chciałem.. Przecież ich tu nie ma i już nie będzie. Złapałem się za końcówki włosów i uśmiechnąłem. – Możecie odejść – powiedziałem przez łzy. Poczulem przyjemne ciepło. Przymknąłem oczy a gdy je otworzyłem już nikogo tu nie było. Westchnąłem. Nie wiem czy bycie zwiadowcą było takim wspaniałym pomysłem. Przypomniałem sobie mężczyznę w czerni, przez którego byłem teraz przykuty do łóżka. Z ulgą przymknąłem oczy zapadając w błogi sen. Czy ja naprawdę byłem chory. Nie to tamten był chory, jego już nie ma. Odszedł.

Aleksandra Szklarz

I Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Kielcach

Nadzieja umiera ostatnia

Tego dnia pogoda w Halifaksie nie dopisywała. Zauważyłam, jak Philip przygląda się Negrom zgromadzonym w porcie, którzy kulili się z zimna. Największy ból w sercu sprawiał nam widok zmarzniętych dzieci, które, pomimo zbyt skromnego ubioru, starały się wspólnie chronić przed natarczywym wiatrem i deszczem.

- Już za parę tygodni ich los zmieni się na lepsze, zobaczysz – przerwałam, trwającą już dłuższą chwilę, ciszę, odrywając głowę od sterty dokumentów. Niestety, jak zawsze biurokracja królowała.

- Doprawdy? Freetown jest oddalone o osiemnaście mil od wyspy Bance. Roi się na niej od handlarzy niewolników - skwitował, odwracając gwałtownie głowę od okna w kajucie.

Spojrzał prosto na mnie swoimi zielonymi oczami - Ty naprawdę uważasz, że będą bezpieczni, osiedlając się tak blisko tego paskudnego miejsca?

- Razem z resztą abolicjonistów nie mieliśmy specjalnego wyboru - odparłam, próbując złapać go za rękę, którą szybkim ruchem zdjął ze stołu. - Posłuchaj, w Sierra Leone nie obejmują ich działania. Prowadzimy tam swoje operacje.

Nie miał już ochoty na dalszą rozmowę ze mną. Oderwał ode mnie wzrok i znów spojrzał w stronę przemarzniętych osób. On uważa swoje, ja uważam swoje. Nie dojdziemy do porozumienia. W jednej kwestii jesteśmy jednak zgodni. Obydwoje, ze względu na silne poczucie obowiązku i patriotyzmu, podjęliśmy się pewnej misji.

Wraz ze swoimi współpracownikami uważałam, że handel niewolnikami stanowi plamę na honorze chrześcijan. Ta sprawa dotyczyła mnie osobiście. Bardzo się ucieszyłam, gdy otrzymałam upoważnienie od właściwych organów w Anglii, by zaproponować lojalnym Negrom podróż po nowe życia w Afryce. Zapytałam o możliwość zabrania z kraju chociaż jednego królewskiego chirurga, jednak mi odmówiono. Postanowiłam więc wziąć mojego młodszego brata Philipa, który kończył właśnie ostatni rok studiów medycznych i chciał mi pomóc. Świadomość, że może przyczynić się do pomocy czarnym ludziom w staniu się wolnymi od ucisku i prześladowań, wywołała w nim ogromną radość.

Kilka dni później znaleźliśmy się w Birchtown. Poprosiłam o zgodę na przemówienie w kaplicy u miejscowego księdza. Tłum jego parafian był jednak tak spory, że musieliśmy się przenieść poza obręb świątyni. Stałam tyłem do oceanu, odruchowo związałam włosy w niedbalego koka. Otrzeptałam z pyłu swoje pełne umundurowanie przewodniczącej kampanii i wzięłam głęboki wdech. Poczulałam siłę i wolność. Miałam serce przepelnione wolą działania.

- Panie i panowie, nazywam się Alexandra Johnson i jestem abolicjonistką Sierra Leone Company. Przyjechałam tu z bratem Philipem, który będzie pokładowym chirurgiem. Urodziliśmy się w Londynie, mieście znajdującym się w Anglii - przedstawiłam siebie i brata donośnym głosem. Liczyłam na to, że każdy mnie usłyszy. - Dotarli do mnie informacje, iż Negrom odmówiono ziemi i szans w Nowej Szkocji oraz w Nowym Brunswiku.

Zebrani zaczęli pomiędzy sobą szeptać. Przerwałam na chwilę przemówienie i zerknęłam na Philipa. Był ubrany w białą koszulę i czarne, szerokie spodnie, które lekko powiewały na wietrze jak żagle. Zdawał się być skupiony i bacznie przyglądał się wszystkim zgromadzonym. Mój mały braciszek zwany w domu przez wszystkich Fifi – pomyślałam – kto by pomyślał, że wyrośnie z niego takie mądre i dobre chłopię!

- Pojawiłam się tutaj, aby zawiadomić was, że na wybrzeżu Afryki zostanie stworzona nowa kolonia - kontynuowałam, odwracając głowę w stronę tłumu. Ponownie nastąpiła cisza, czulałam, że zaczęli mnie słuchać. – Wszyscy, bez względu na kolor skóry, mieliby takie same prawa cywilne, osobiste, handlowe i wojskowe. Kampania jest gotowa również pokryć wszelkie koszty związane z transportem. Zapewnia darmowy dostęp do niezbędnych narzędzi, przekazanie ziaren pod uprawę oraz, co tak istotne, ziemi na własność.

Zgromadzeni zaczęli wiwatować tak głośno, że musiałam zaczekać, aż krzyki ucichną. Uśmiechnęłam się szeroko. To dobry znak, zaczynają mi zdaje się ufać. Zapytałam, czy

mogę narysować mapę Afryki. Zależało mi na pokazaniu Negrom miejsca, w którym przyjdzie im żyć. Tłum przytaknął, a Philip wyjął ze swojej skurzonej torby pióro i kilka arkuszy papieru. Po podaniu mi wszystkich potrzebnych rzeczy wzięłam się do szkicowania.

- Tutaj znajduje się Freetown. Będziemy do niego płynąć przez Ocean Atlantycki - zaczęłam objaśniać rysunek od postawienia dużej kropki na północ od miejsca, w którym kontynent wybrzuszał się na zachód - W tych miejscach znajdują się kolejno wybrzeża Pieprzowe, Kości Słoniowej i Niewolnicze.

- Niewolnicze? Dlaczego będziemy się znajdować akurat tak blisko niego? - wtrącił się jeden z wychudzonych czarnoskórych. Wyglądał mizernie, wystawały mu wszystkie żebra. - chyba nie chcecie nas po to specjalnie tam zabrać, by z powrotem oddać w niewolę?

- Na potrzebę tej misji Sierra Leone Company utrzymuje serdeczne stosunki z sąsiadami - zaczęłam spokojnie wyjaśniać. - Tak, jak oni nie mają wpływu na nasze działania, tak my, nie mamy wpływu na ich, na wyspie Bance. Spokojnie, wszystko zostało dobrze obmyślane. Staraliśmy się z bratem odpowiedzieć na wiele pytań kolejno zadawanych przez Negrów, starając się ich uspokoić. Z każdym słowem wydawało mi się, że zaskarbiamy sobie u nich coraz większe uznanie.

- Pamiętaj, ludzie o złej opinii mają zakaz wejścia na statek do Halifaxu - przypomniałam bratu, gdy przygotowaliśmy spis chętnych do podróży. - Dzieci nie będą mogły podróżować w pojedynkę, chyba że jakaś kobieta zobowiąże się przygarnąć sierotę.

- Rozumiem - odparł, zapisując wszystkie informacje w notatniku. - Co wolno im zabrać?

- Kufer z ubraniami, drób i nie więcej niż jednego psa na trzy rodziny - odparłam, przyglądając się dzieciom bawiącym się na wybrzeżu. - Nie mogą natomiast wziąć żadnych mebli ani prosiąt.

Po dwóch dniach kursowania na morzu przybyliśmy do Halifaxu wraz z setkami Negrów. Miasto dopiero co zaczęło powstawać. Znajdowało się w nim mało sklepów i budynków publicznych. Wydawało się jednak spokojne i Negrzy mogli się tu czuć bezpiecznie. W ciągu kolejnych tygodni przybywało ich tu coraz więcej, wygłodniałych, niepewnych, przerażonych. Mieli na sobie podarte ubrania i wielu z nich dopadały rozmaite choroby. Mój

brat pracował dniami i nocami, by zapewnić im zakwaterowanie w magazynach, gdzie była woda zdatna do picia, sprowadzał niezbędne produkty, leki i organizował opiekę medyczną dla potrzebujących, zaś ja nadzorowałam zaopatrzenie jednostek pływających i zamawiałam narzędzia rolnicze, nasiona...

- Każdy ze statków ma być wysmołowany i wyszorowany - tłumaczyłam pracownikom okrętu.

- Da się zrobić - odparł marynarz z zawadiackim uśmiechem - Coś jeszcze?

- Proszę również o dostarczenie do kuchni karty dań - dodałam, podając mu menu. - Musimy zapewnić podróżującym kaloryczne posiłki. Na śniadanie i kolację powinni otrzymywać indyjskie curry, na obiad na zmianę wołowinę, drób, ryby, a także bataty, topinambur, fasolę i wodę pitną.

Na czas pobytu w Halifaxie zajęłam jednoosobową, wąską kajutę, znajdującą się najniżej statku. Musiałam załatwiać wiele spraw dotyczących dokumentacji, zależało mi więc na ciszy i spokoju. Dni sączyły się powoli jak rum. Na szczęście odwiedzał mnie często Fifi, który przynosił jedzenie i gazety. Po wyczerpującym dniu pełnym wrażeń lubiliśmy wracać wspomnieniami do beztróskiego dzieciństwa w Anglii. Bywały takie chwile, że patrzyliśmy przez okno, milcząc i obserwując port. Wystarczała nam sama obecność drugiego i szum oceanu, który działał kojąco jak balsam na duszę, a dusze mieliśmy w podobny kolorze, jak mawiała nasza mama.

15 stycznia 1792 roku piętnaście statków pojawiło się w porcie, by wyruszyć do Afryki. Na pokładzie „Lukrecji”, łącznie ze mną, płynęło dwustu pasażerów, ale podczas przeprawy przez ocean sześciu z nich umarło. Nie bardzo wiedzieliśmy na co, nie mieli żadnych szczególnych objawów prócz wysypki. Nie mniej jednak Philip starał się jak mógł i próbował ratować każdego. Po niemal dwumiesięcznym morderczym rejsie, sztormie, dniach upalnych i suchych, moim oczom ukazała się góra w kształcie lwa - Sierra Leone. Wiedziałam już wtedy, że zbliżamy się do Zatoki Świętego Jerzego. Za około godzinę powinniśmy się znaleźć w Afryce. Cale szczęście, bo zapasy pitnej wody kurczyły się i zaczęliśmy ją

wydzielać.

- Moi drodzy! - wykrzyknął nagle mój brat, odwracając się w stronę pasażerów i wskazując im palcem łąd. - Już za niedługo dotrzemy na miejsce! Spójrzcie tam, oto cel naszej wyprawy.

Kiedy dopłynęliśmy do zatoki, wyszliśmy na brzeg, nareszcie nie kołysało. Postanowiliśmy spontanicznie zorganizować małą ucztę wieczorem jako wynagrodzenie za trudy podróży.

Część planu Sierra Leone Company została pomyślnie przeprowadzona i czułam dumę.

Przybysze krzyczeli z powodu rozpierającej ich radości, każdy ze mną i Philipem wymieniał się uściskami. Wszyscy, starzy i młodzi, rwali się do tańca i śpiewali w wielkim kręgu.

Spaliśmy z radości na plaży, pod gołym niebem, a część w magazynach a także namiotach, które nam podarował sir Lebi. Poczuliśmy się wspólnotą, jednością.

- Panie i panowie - rzekłam następnego dnia, uśmiechając się szeroko do nowych mieszkańców Freetown. - Wysłałam list z prośbą do dowódców kompanii, byśmy z bratem zostali tutaj z wami na jakiś czas. Zgodzili się, z czego jestem bardzo zadowolona. Chcemy, by każdy z Was znalazł tu swoją Ziemię Obiecana, po prostu swój dom.

- Zobaczycie - wyszła na środek kobieta w podeszłym wieku, jej siwe, poskręcane pasma włosów ciasno przylegały do czaszki. Zwróciła się do wszystkich - W ciągu kolejnych kilku miesięcy przeszczepimy tu znaczą część Nowej Szkocji!

Tak się właśnie zaczęło dziać. Z każdym mijającym tygodniem powstawało coraz to więcej domów mieszkalnych, drewnianych kościołów, spichlerzy, a nawet dróg. Dzięki wielkiemu zaopatrzeniu, jakie kampania zapewniła Negrom, mieli oni dostęp do wszystkich niezbędnych materiałów, narzędzi i jedzenia.

- Mogę się przyjrzeć? - spytałam przyjaźnie, podchodząc bliżej powstającej chaty. Dzieci zauważywszy mnie, pobiegły w kilku susach do chatki i wróciły z kolorowym wisiorkiem, zrobionym z morskich muszelek i małych kamyczków. Powiesiły mi go na szyi.

- Dziękuję wam, jest piękny. Tryska mnóstwem barw, niczym tęcza, którą tu czasem można zobaczyć nad zatoką.

- Ależ śmiało, zapraszam tutaj - odpowiedział wesoło mężczyzna, a jedna z dziewczynek złapała mnie za rękę i zaprowadziła do małej, drewnianej pracowni znajdującej się z tyłu domu. Zerknęłam na twarz gospodarza. Pokrywały ją liczne blizny.

- Mój drogi, skąd masz tyle śladów na twarzy?

- Ach, te... - przyłożył rękę do policzka, a ja zaczerwieniłam się ze wstydu. Denerwowała mnie czasami moja bezpośredniość. Nie miałam zamiaru nikomu z Negrów przypominać o smutnych chwilach spędzonych w niewoli. Na widok mojej miny zaśmiał się serdecznie. - Spokojnie, nic się nie stało. To pozostałości po chłoście od mojego dawnego pana. Stare dzieje...

- Trochę czasu minęło, odkąd tutaj przybyliśmy. Podoba ci się życie w Sierra Leone? Jak się tu czujesz?

- Chociaż nie urodziłem się w Afryce, czuję, że to właśnie tu odnajdę moje miejsce na ziemi, mój prawdziwy dom - przyznał, biorąc jedno z dzieci na kolano. - Nie poznałem nigdy żadnego członka mojej rodziny. Zostałem porwany jako niemowlak i sprzedany w Charles Town. Z czasem dowiedziałem się jedynie tyle, że moi rodzice należeli do jednego z plemion zamieszkujących w samym sercu ładu.

Gdy słuchałam opowiadania Negra, nagle do moich uszu dotarły niepokojące odgłosy wystrzałów. Wstałam szybko z miejsca. Wybiegłam pędem na drogę! Zobaczyłam kilku mężczyzn, dryfujących w łódkach po oceanie i stopniowo zbliżających się do naszego brzegu. Płynęli z wyspy Bance. Mieli przy sobie strzelby, skórzane sieci i pasy do łapania niewolników. Na ich widok wśród mieszkańców zapanował popłoch. Rzucali rozpoczętą pracę i strwożeni uciekali w różne strony. Paru rosyłych mężczyzn nadaremnie próbowało walczyć z napastnikami, którzy zdołali już wyskoczyć na brzeg. Byliśmy zbyt słabo uzbrojeni, by im podolać.

Chociaż cała sytuacja zaniepokoiła mnie, starałam się opanować. W takich okolicznościach głowa musi być chłodna. Musiałam zacząć racjonalnie myśleć i podejmować działania obronne. Uświadomiłam sobie, że w schowku na statku leżały lekko przyrdzewiałe karabiny i kule oraz proch strzelniczy. Zostały mi one podarowane przez samego króla Anglii. Nie

miałam ani chwili do stracenia. Biegłam co sił w nogach na plażę. Nagle słyszę wystrzał, to jeden z handlarzy trafił mnie w ramię, lecz pomimo przeszywającego na wskroś bólu nie poddawałam się i mknęłam dalej przed siebie.

- Stój! - krzyknął mój brat, zagradzając mi drogę. Wyrósł nagle, nie wiedzieć skąd. – Nie możesz tam iść! Zabraniam ci! Wiem, o czym myślisz, ale nie! Pokład naszego statku został już przejęty przez wroga. Jakakolwiek próba dostania się tam, wiąże się ze śmiercią. Jest ich zbyt wielu, nie mamy szans w starciu.

- Nic nie rozumiem - odezwałam się wstrząśnięta. - Przecież Sierra Leone Company i pracownicy z wyspy Bance mieli zawartą umowę. W jakim celu podjęli tak radykalne kroki?

- Te zbroje są żądni łupów. Handlarze musieli cierpliwie odczekać parę miesięcy, by mieć pewność, że po wtargnięciu do Freetown, pojmą jak najwięcej ludzi, potem sprzedadzą ich za na targach niewolników, których nie brakuje.

Popatrzyłam na brata. Wszystko wskazywało na to, że agresorzy od początku mieli w tym swój interes. Doświadczylam silnego poczucia winy. Wraz z całą kompanią nie przewidzieliśmy tak mrocznego scenariusza. Żywiliśmy przekonanie, że skoro żadna ze stron nie ingeruje w swoje działania, misja powinna zostać przeprowadzona z dobrym skutkiem. Spędziliśmy parę dni po za miastem, w dżungli. Brat zrobił platformę z gałęzi i liści, taki domek na drzewie, jak niegdyś w dzieciństwie. Był to też dobry punkt obserwacyjny na plażę. Wciągnął mnie tam na lianie. Dbal o mnie i regularnie zmieniał mi opatrunki (małą apteczkę zawsze nosił przy sobie). Szybko wracałam do pełni sił. Nie przestawaliśmy ani na chwilę myśleć o wszystkich niewinnych ludziach, którzy się rozpięchli i pragnęliśmy jak najszybciej powrócić do Freetown. Jednej nocy zakradliśmy się tam i ku naszemu zdziwieniu spostrzegliśmy, iż najeźdźcy porzucili jeńców skrępowanych linami nad morzem i... odpłynęli. Byliśmy szczęśliwi, ale i zarazem zdumieni. Węszyliśmy w tym nawet jakiś podstęp. Nie rozumieliśmy, z jakiej przyczyny handlarze nagle opuścili nasz teren. Postanowiliśmy nocą zejść z Philipem stromym zboczem na brzeg, by uwolnić naszych podopiecznych z pęt.

-Spójrz! - krzyknęłam, gdy miałam już zamiar dotknąć liny. W ostatniej chwili zauważyłam w blasku księżyca, że byli zsypani drobnymi krostami. - Lepiej ich nie dotykać! Musieli się czymś zarazić.

- To muszą być te same objawy, których miało sześcioro zmarłych pasażerów, pamiętasz? – spytał i zamyślił się. - Dalej nie wiem, co to za choroba. Rozumiesz już, dlaczego wróg opuścił to miejsce? Przestraszyli się, że się zarażą.

Philip zauważył, że nad małym strumieniem są miejsca o bujnej roślinności. Rosły tam bardzo rzadkie drzewa i można było też odnaleźć korzenie mandragory. Przypomniał sobie, że mają wiele leczniczych mocy. Sporządzał maści, napary, okłady i mikstury. Początkowo niestety, nie działały. Jednak, jak wiadomo, nadzieja umiera ostatnia. Gdy był już bliski załamania, a czas naglił, bo ludzie umierali, jeden z jego specyfików nagle uleczył małą Lili. Pomagał też dorosłym. Mój dzielny brat nas uratował. Byłam z niego taka dumna, a wszyscy tacy wdzięczni i szczęśliwi. Teraz na nowo mogliśmy się zabrać za tworzenie naszej osady, przestrzeni przyjaznej, krainy spokoju i łagodności. Patrzyłam na brata z podziwem. Jak dobrze, że tu był i mogłam na niego liczyć, bez niego, nie dałabym sobie rady.

Łukasz Wojda

III Liceum Ogólnokształcące im. C. K. Norwida w Kielcach

Nieuchwytny

Każde miasto skrywa swoje tajemnice, tak jak każdy człowiek chowa w sobie jakieś lęki. Czasami całą otaczającą nas rzeczywistość przeplata jedwabna nitka pozorów, które staramy się zachować, by okiełznać emocje. Jednak co zrobić, jeśli ktoś trzyma w ręku tę nić i w dowolnej chwili może ją przeciąć? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Nie zawsze da się opisać emocje, które nam towarzyszą...

Wyobraźmy sobie idealne, nieskazitelne miasteczko, w którym wszyscy mieszkańcy są sobie równi, oddają innym należyty szacunek i troszczą się o każdą jednostkę. Nie ma tam lepszego i gorszego sortu, każdy traktowany jest tak samo. Trudno wyimaginarować sobie taki obraz w naszych głowach. Jednak miasteczko Vlaphis, przynajmniej starało się oddać nastrój perfekcyjnego miejsca na ziemi.

Z teoretycznego punktu widzenia, zachowanie bezkonfliktowego ładu zdaje się być nieosiągalne. Mimo to w praktyce całkiem zgrabnie im to wychodziło. Mieszkańcy nie wszczynali konfliktów, polegali na sobie i starali traktować się jak rodzinę. Sprzyjała temu niewielka liczba mieszkańców, gdyż niektórzy postanowili opuścić to miejsce i wyruszyć w nieznaną.

Położenie Vlaphis na mapie nie było jakieś tragiczne. Miasteczko znajdowało się na południowym zachodzie Ameryki Północnej, pośród licznych gór i lasów. Nastroju dodawał urok tego miejsca, który charakteryzował się rześkim powietrzem o poranku i spokojnie tętniącą życiem przyrodą. Nieopodal Vlaphis znajdowały się inne miasteczka, które nie miały tyle szczęścia, by utrzymać się długo na mapie. Bez mieszkańców terytorium w końcu obumiera do momentu, w którym zostaje całkowicie zapomniane.

Mieszkańcy Vlaphis nie chcieli dopuścić do tego, by wkrótce o nich zapomniano. Jednym z nich był Spes, którego imię wywodzi się z łaciny, a dokładnie oznacza nadzieję. Chłopak miał dopiero siedemnaście lat a tak bardzo przykładał się do powierzonych obowiązków. Momentami, gdy odczuwał, że to wszystko go przerasta, błądził myślami i rozmyślał nad tym czy podola. Mimo wszystko przezwyciężał swoje obawy, które pojawiały się dość często przed ważnym zadaniem. Wśród wspólnoty cieszył się poparciem, gdy zabierał głos i szacunkiem, który wyrobił sobie przez pomoc innym. Nawet sam burmistrz pokładał w nim wielkie plany. Można powiedzieć, że jego imię idealnie pasowało jego osobowości. Sam Spes był również bardzo towarzyski, dogadywał się z praktycznie każdym. Jednak w życiu młodego i dorastającego chłopaka, szczególnie ważna była jedna osoba – Lily, jego przyjaciółka. Dorastali razem od dziecka. Już w przedszkolu ich przyjaźń zaczęła rozkwitać, ale dopiero po jakim czasie stała się niezaprzeczalnie nierozzerwalna. Śmiało można twierdzić, że ten duet mógłby być definicją przyjaźni, która może narodzić się między ludźmi. Mimo wszelakich kłótni, oni pozostali wierni swojej relacji, która każdemu z osobna dodawała skrzydeł, by wznieść się ponad swoje ograniczenia.

Pewnej majowej nocy, było tak gorąco, że Spes musiał wstać z łóżka i otworzyć okno, jednak to wcale nie pomogło. Powietrze wydawało się tak bardzo ciężkie i parne, normalnie duchota. Chłopak zdjął z siebie koszulkę, jednak to również nie przynosiło większych skutków. Szybko zbiegł z drugiego piętra na pierwsze, gdzie spali jego rodzice. Wszedł bezszelestnie do ich sypialni, jednak to, co tam zobaczył, bardzo go zdziwiło...

Na twarzy rodziców nie było ani jednej kropli potu. To było wręcz niemożliwe, że przy takiej temperaturze, każde z nich spało, jak gdyby nic. Nie odczuwali żadnego dyskomfortu. Jednak nie można było powiedzieć tego samego o Spesie. Chłopak pocił się bardziej niż wcześniej, było coraz gorzej. Czym prędzej zbiegł na dół, poządlawie szukając lodówki. Gdy w końcu do niej dotarł, otworzył zamrażalnik i wyjął pudełko z kostkami lodu. Momentalnie zaczął wcierać lód w całe ciało, co zlagodziło i ochłodziło jego przepalone ciało. Chłopak odetchnął z ulgą, spędził przeszło czterdzieści minut, koczując przy zamrażarce. W końcu jego stan zaczął wracać do normy, a zza okna można było dostrzec pierwsze promienie porannego słońca. Usłyszał kroki stóp, które dochodziły z pierwszego piętra. Jego mama wyjątkowo

wcześniej wstała i przysłała do kuchni. Ogromnie się zdziwiła widząc, leżącego i półnagięgo syna.

- Czemu tu się znalazłeś? - zapytała mama.

- W nocy było tak gorąco, jakbyś stała w upalny dzień na słońcu przez kilka godzin - powiedział. - Masakra, nie wiem czemu tego nie odczułaś.

- Pewnie dojrzewasz, bardziej się pocisz - odpowiedziała kobieta. - Mam do ciebie prośbę.

- Jaka prośbę? - zapytał.

- Chciałabym, żebyś o ósmej poszedł po moje zamówienie do Caroline, na rynek - powiedziała z uśmiechem. - Mogę dziś na ciebie liczyć?

- Tak, spacer dobrze mi robi - odpowiedział.

Spes ostatkami sił wszedł na górę i położył się na łóżku, rozmyślając o ostatniej nocy. Może rzeczywiście dojrzewał, to było całkiem racjonalne wytłumaczenie, dlaczego jego rodzice, nie odczuli tego gorąca. Postanowił przyswoić tę wiadomość, jednak coś, do końca nie pozwalało mu tego zrobić. Nie wiedział co i dlaczego go blokuje, ale przeczuwał, że może dziać się coś dziwnego... Jednak teraz najważniejszy był sen i odzyskanie energii. Nie zapomniał również o prośbie matki.

Gdy Spes obudził się z swojej drzemki, a zegar wybił ósmą, jak najszybciej się ubrał, umył zęby i wyruszył na rynek. Czuł się znacznie lepiej niż poprzednio, jednak nadal zaprzętał sobie myśli nocnym zdarzeniem. Mimo to pamiętał o prośbie jego matki i postanowił skupić na niej całą swoją uwagę. Droga przebiegała pomyślnie, bez większych przeszkód.

Był bardzo słoneczny dzień, na tyle, że większość ludzi miała na sobie dosyć lekkie ubrania. Na środku rynku tuż przy fontannie bawiła się grupka dzieci, które z uśmiechem na twarzy, polewały się rześką wodą. Spes uśmiechnął się i podszedł do nich, ochoczo ich witając.

Wśród nich była córka Caroline – Esmera.

- Cześć dzieciaki! - krzyknął radośnie Spes.

- Spes! Spes! Spes! - wrzasnęły chórem dzieciaki.

- Piękna dziś pogoda, prawda? - zapytał.

- Tak! Nasze miasteczko jest cudowne, uwielbiam je! - odezwowało się jedno z dzieci.

- Ja również! - odparł. - Esmero, mam pytanie. Gdzie znajdę twoją mamę?

- Stoi przy ratuszu, wraz z innymi - odpowiedziała dziewczynka.

- Dziękuję, a teraz wracajcie i bawcie się! - powiedział.

Spes ruszył w kierunku ratusza. Po zaledwie minucie znalazł się tuż przed drzwiami.

Rzeczywiście zebrala się tu spora część miasteczka, rzadko kiedy tyle osób widzi się przed ratuszem. Może to jakaś wyjątkowa sytuacja, może nowa inwestycja? Spes odnalazł Caroline, przy której stała jej druga córka Lily. Chłopak postanowił wsłuchać się w rozmowę zebranych. Atmosfera wydawała się być nie najlepsza. Dorosli w tym dniu, wyglądali jak totalne przeciwieństwo radosnych dzieci. Ich wyraz twarzy był ponury. Czyżby coś poróżniło wspólnotę? Nie do końca dało się zrozumieć, co mówią, gdyż różne głosy nakładały się na siebie. Burmistrz wyszedł z ratusza i przemówił.

- Posłuchajcie mnie, bardzo mi przykro z powodu waszych dzieci - powiedział. -

Staramy się dojść do rozwiązania, jednak wciąż brakuje nam szczegółów. Nasze kamery nic nie zarejestrowały, a straż niczego nie zauważyła.

- Tylko tyle masz nam do powiedzenia? - zapytała jedna z kobiet. - Moja córkę ktoś porwał, a ty mówisz, że nie macie nic, co mogłoby pomóc ją odnaleźć. Kto wie, czy jeszcze żyje?!

- Spokojnie, wiem, że to trudno zachować spokój w tej sytuacji, ale presja i gniew nic tu nie pomogą - odpowiedział burmistrz.

- Proszę Pana, zniknęło pięcioro nastolatków jednej nocy, musicie działać - powiedział tutejszy sklepikarz.

- Rozumiem i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by odnaleźć wasze dzieci -

powiedział. - Nie pocznę, dopóki nie znajdę sprawcy. Wyślę patrol, na każdą dzielnicę, przeszukamy pobliskie lasy i góry.

- Ufamy ci, nie zawieź nas - powiedziała Caroline. - Musimy ich znaleźć...

Spes stał, jakby doznał paraliżu. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Jego nogi drżały, a

serce znacznie przyspieszyło. Odruchowo złapał Lily za rękę, która ją mocno ścisnęła. Tej nocy nie czuł się dobrze, co, jeśli to on mógł być ofiarą. Był wyczerpany, daleko by nie uciekł. Sytuacja wyglądała jak z horroru. Jednak pamiętał, dlaczego tu przybył.

- Dzień dobry - powiedział chłopak. - Mama przysłała mnie po jej zamówienie, ale widzę, że coś niedobrego dzieje się w Vlaphis.

- Och tak, zapomniałam - odpowiedziała kobieta. - Nie martw się tym, na pewno ich znajdą, wierzę w naszego burmistrza, a co do zamówienia, niestety, nie wzięłam z dom herbatki, którą chciała twoja mama. Może do nas przyjdiesz?

- Jasne, czemu nie - odpowiedział chłopak.

Cała czwórka, bo oczywiście Esmera, nie mogła zostać sama, szczególnie w panującej aktualnie sytuacji, wyruszyła w stronę domu rodzinnego Caroline. Spes rozglądał się i przypatrywał się przechodniom, u których uśmiech zakrywał smutek. Kilka osób szło z spuszczoną głową, za rogiem ulicy płakały kobiety, prawdopodobnie matki zaginionych. Jednak szczególną uwagę Spesa przykuł starzec, który szczególnie wpatrywał się w chłopca. Jego wzrok był na tyle przenikliwy i skupiony na celu, że chłopak postanowił zatrzymać się i odłączyć się od grupy. Lily uprzedziła matkę i dołączyła do Spesa. Tak właśnie duet przyjaciół ruszył w kierunku starca, który jakby wyczekiwał ich nadejścia, patrzył na nich skupionym wzrokiem. Zbliżyli się znacznie do mężczyzny, który nagle odwrócił się i przestał obserwować chłopca. Zaintrygowany Spes przyspieszył tempa, aż w końcu był na wyciągnięcie ręki od starca.

- Witaj - powiedział chłopak. - Odczułem twój wzrok, nie wiem kim jesteś, ale wydajesz się podejrzany, wiesz coś o zaginięciu nastolatków?

- Przepraszam cię, mój drogi chłopcze - odpowiedział. - Pomyliłem cię z kimś, pochodzę z pobliskiego miasteczka, które niedługo zniknie z mapy.

- Co Pana tu sprowadza? - zapytał. - Przepraszam, za mój brak manier, nie powinienem był tak agresywnie mówić. Proszę o wybaczenie...

- Przybyłem sprawdzić, jak się wszyscy miewacie - odpowiedział. - Widzę, że dobry z ciebie chłopak, nie gniewam się, szkoda, że dziś spełni się przepowiednia...

- Zaraz, zaraz jaka przepowiednia? - wtrąciła się Lily.

- Nie znacie legendy o zbłąkanym wędrowcu? - odrzekł. - Opowiem wam ją, słuchajcie. Dawno, dawno temu, kiedy wszystkie te otaczające drzewa, dopiero wypuszczały korzenie, pewna rodzina wiodła spokojne życie w górach. Jednak nie wszyscy byli w niej dobrze traktowani. Jeden z członków rodziny, był uznawany jako piąte koło u wozu. Gdy nadeszła zima, rodzina wyrzuciła chłopca z domu, tłumacząc, że nie ma wystarczająco jedzenia, by starczyło dla wszystkich. Złamany błąkał się po górach i lasach, gdzie żywił się napotkaną zwierzyną i tym, co przyroda mu oferowała. Wytrzymał cały rok na własną rękę, jednak, gdy nadeszła kolejna zima, znacznie sroższa i mroźniejsza, chłopiec nie dawał sobie rady. Postanowił wrócić do rodzinnego domu, błagając o wpuszczenie do środka. Jednak, gdy tylko zbliżył się do progu, to ojciec popychał go z powrotem na zewnątrz. Po paru dniach, wycieńczony i zagłodzony chłopak umarł, przeklinając przed śmiercią swoją rodzinę. Zamienił się w zjawę, która błąkała się po górach z żalem do swoich krewnych. Z czasem zapominał o swoim człowieczeństwie i zamienił się w demona, który nieprzerwanie nęka pobliskie cywilizacje. Dokładnie co sto lat porywa nastolatków i syci się ich lękiem.

- Da się to jakoś powstrzymać? - zapytał chłopak.

- Podobno, ktoś mógłby w stanie zmienić los tego nieszczęsnego potwora, ktoś o kim mówi się Nieuchwytny - powiedział.

- Kto to? - zapytała Lily.

- Nikt tego nie wie - powiedział. - A teraz żegnajcie kochani. Wyruszam w dalszą podróż.

To, co usłyszeli, dosłownie wbiło ich w ziemię. Przerażeni, nie zamieniając ani jednego słowa, ruszyli w kierunku domu Lily, która kurczowo trzymała rękę swojego przyjaciela. Jeśli wszystko było prawdą, czekała ich najtrudniejsza noc w ich życiu, a jedyną nadzieją był Nieuchwytny, który mógłby ich uratować.

Gdy doszli już do celu, szybko wbiegli do środka. Chwilę później Lily zaprowadziła Spesa

do swojego pokoju na piętrze. Oboje ciężko oddychając, położyli się na świeżo posłanym łóżku. Dziewczyna opowiedziała o wszystkim, co zdarzyło się w nocy. Dokładnie to samo przeżył Spes, który już wiedział, że nie chodzi o dojrzewanie, a naprawdę może być to wynik działania demona.

Spes i Lily wpatrywali się nieustannie w biały sufit. Gdyby tylko dało się zatrzymać bieg czasu, niestety, na ten moment nie było to możliwe. Co gorsza, mogło się wydawać, że godzina mijala znacznie szybciej niż poprzednio. Zegar wręcz pędził, a za oknem słońce schodziło coraz niżej. Paradoksalne w tym wszystkim jest to, że wszystko wydawało się takie realne...

Zbliżała się noc, latarnie na ulicy zaczęły świecić coraz jaśniej. Burmistrz, jak obiecał, tak zrobił, postawił straż i patrolował teren. Wszystko wyglądało bezpiecznie, jednak nie w przypadku, gdzie głównym antagonistą był demon. Caroline i mama Spesa, zgodziły się, by Spes mógł nocować u Lily. Było to bardzo ważne, by przechodzić przez to razem.

Zrobiło się bardzo gorąco, praktycznie w przeciągu chwili. Dokładnie to samo odczuwali pierwszej nocy Spes i Lily, jednak teraz uczucie gorąca było silniejsze. Prawdopodobnie to moc demona, która osłabia ofiary przed potencjalnym atakiem. Kurczowo trzymając się za ręce, zaczęli odczuwać znużenie, aż w końcu bezwiednie zemdleli.

Gdy minęło trochę czasu, Spes i Lily obudzili się w zupełnie innym miejscu. Dokładniej mówiąc, w ciemnej grocie, do której ledwie, co dochodziło światło księżyca. Po chwili ich ciała uniosły się w powietrzu.

- Klękajcie przed swoim przeznaczeniem - powiedział złowrogi głos.

- Nigdy! - krzyknęła Lily.

- Pokaż się poczwaro - odezwał się Spes.

Po chwili ich ciała opadły na ziemię, a oni sami byli bardzo wyczerpani. Wokół nich było mnóstwo kamiennych posągów nastolatków, które budziły grozę w ich sercach. Demon jako pierwszy zwrócił się do Lily, której podniósł głowę i kazał spojrzeć prosto w oczy.

Dziewczyna ujrzała w nim swoje największe lęki, po czym zamieniła się w kamień. Spes był zrozpaczony, chciał uratować swoją bratnią duszę. Mimo ogromnego strachu, sam podniósł głowę i spojrzal w ślepią demona. Wyglądał jak mieszanina pyłu, a jego oczy były pokryte krwią, który później uformował się na podobieństwo lęku Spesa - przybrał postać chłopca.

- Nie rozumiem - powiedział demon. - Stoisz przede mną, przed panem lęku, nogi drżą Ci ze strachu, a Ty...

- Może i boje się ciebie, ale nie pozwolę ci ranić niewinnych ludzi, znam dokładnie twoją historię - odpowiedział.

- Nie obchodzą mnie twoje słowa - odrzekł. - Twoim największym lękiem jesteś ty sam, boisz się, że nie podolasz, boisz się, że zawiedziesz... mimo to jesteś

Nieuchwytny. Nadal w to nie wierzę...

- Masz rację, tego najbardziej się boję, jednak mimo wszystko chcę ocalić innych, prawdziwa odwaga to zaakceptowanie strachu i zmierzenie się z nim twarzą w twarz - odrzekł chłopak. - Moje imię oznacza nadzieję, która również jest dla ciebie.

Chłopak podszedł do demona, cały czas utrzymując kontakt wzrokowy. Zmora stała jakby unieruchomiona. Gdy był na tyle blisko, Spes przytulil go z całej swojej siły i rzekł: Teraz jesteś wolny. Demon znikł, raz na zawsze, a dusza zbląkanego wędrowca, mogła być od teraz wolna.

Posągi zamieniły się w ludzi, włącznie z Lily, o którą tak bardzo martwił się Spes. Wszystko wróciło do normy, chłopak otrzymał order bohatera Vlaphis, który powstał specjalnie na prośbę burmistrza. Nadzieja, wiara, miłość i troska wygrały z złem, które emanowało od demona. Spes okazał serce nawet duszy uwięzionej w demonicznej powłoce. Stał się nieuchwytnym dla sił zła, poprzez swoją nieskazitelną duszę i czyste intencje. Nadzieja umiera ostatnia, a strach jest tylko i wyłącznie w naszych głowach i to od nas zależy, czy go poskromimy.

Każde miasto skrywa swoje tajemnice, tak jak każdy człowiek chowa w sobie jakieś lęki. Czasami całą otaczającą nas rzeczywistość przeplata jedwabna nitka pozorów, które staramy się zachować, by okiełznać

emocje. Jednak co zrobić, jeśli ktoś trzyma w ręku tę nić i w dowolnej chwili może ją przeciąć? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Nie zawsze da się opisać emocje, które nam towarzyszą...

Wyobraźmy sobie idealne, nieskazitelne miasteczko, w którym wszyscy mieszkańcy są sobie równi, oddają innym należyty szacunek i troszczą się o każdą jednostkę. Nie ma tam lepszego i gorszego sortu, każdy traktowany jest tak samo. Trudno wyimagować sobie taki obraz w naszych głowach. Jednak miasteczko Vlaphis, przynajmniej starało się oddać nastrój perfekcyjnego miejsca na ziemi.

Z teoretycznego punktu widzenia, zachowanie bezkonfliktowego ładu zdaje się być nieosiągalne. Mimo to w praktyce całkiem zgrabnie im to wychodziło. Mieszkańcy nie wszczynali konfliktów, polegali na sobie i starali traktować się jak rodzinę. Sprzyjała temu niewielka liczba mieszkańców, gdyż niektórzy postanowili opuścić to miejsce i wyruszyć w nieznaną.

Położenie Vlaphis na mapie nie było jakieś tragiczne. Miasteczko znajdowało się na południowym zachodzie Ameryki Północnej, pośród licznych gór i lasów. Nastroju dodawał urok tego miejsca, który charakteryzował się rześkim powietrzem o poranku i spokojnie tętniącą życiem przyrodą. Nieopodal Vlaphis znajdowały się inne miasteczka, które nie miały tyle szczęścia, by utrzymać się długo na mapie. Bez mieszkańców terytorium w końcu obumiera do momentu, w którym zostaje całkowicie zapomniane.

Mieszkańcy Vlaphis nie chcieli dopuścić do tego, by wkrótce o nich zapomniano. Jednym z nich był Spes, którego imię wywodzi się z łaciny, a dokładnie oznacza nadzieję. Chłopak miał dopiero siedemnaście lat a tak bardzo przykładal się do powierzonych obowiązków. Momentami, gdy odczuwał, że to wszystko go przerasta, błędził myślami i rozmyślał nad tym czy podola. Mimo wszystko przewycięzał swoje obawy, które pojawiały się dość często przed ważnym zadaniem. Wśród wspólnoty cieszył się poparciem, gdy zabierał głos i szacunkiem, który wyrobił sobie przez pomoc innym. Nawet sam burmistrz pokładał w nim wielkie plany. Można powiedzieć, że jego imię idealnie pasowało jego osobowości. Sam Spes był również bardzo towarzyski, dogadywał się z praktycznie każdym. Jednak w życiu młodego i dorastającego chłopaka, szczególnie ważna była jedna osoba – Lily, jego przyjaciółka. Dorastali razem od dziecka. Już w przedszkolu ich przyjaźń zaczęła rozkwitać, ale dopiero po jakim czasie stała się niezaprzeczalnie nierozzerwalna. Śmiało można twierdzić, że ten duet mógłby być definicją przyjaźni, która może narodzić się między ludźmi. Mimo wszelakich klótni, oni pozostali wierni swojej relacji, która każdemu z osobna dodawała skrzydeł, by wznieść się ponad swoje ograniczenia.

Pewnej majowej nocy, było tak gorąco, że Spes musiał wstać z łóżka i otworzyć okno, jednak to wcale nie pomogło. Powietrze wydawało się tak bardzo ciężkie i parne, normalnie duchota. Chłopak zdjął z siebie koszulkę, jednak to również nie przynosiło większych skutków. Szybko zbiegł z drugiego piętra na pierwsze, gdzie spali jego rodzice. Wszedł bezszelestnie do ich sypialni, jednak to, co tam zobaczył, bardzo go zdziwiło...

Na twarzy rodziców nie było ani jednej kropli potu. To było wręcz niemożliwe, że przy takiej temperaturze, każde z nich spało, jak gdyby nic. Nie odczuwali żadnego dyskomfortu. Jednak nie można było powiedzieć tego samego o Spesie. Chłopak pocił się bardziej niż wcześniej, było coraz gorzej. Czym prędzej zbiegł na dół, poządliwie szukając lodówki. Gdy w końcu do niej dotarł, otworzył zamrażalnik i wyjął pudełko z kostkami lodu. Momentalnie zaczął wcierać lód w całe ciało, co złagodziło i ochłodziło jego przepalone ciało. Chłopak odetchnął z ulgą, spędził przeszło czterdzieści minut, koczując przy zamrażarce. W końcu jego stan zaczął wracać do normy, a zza okna można było dostrzec pierwsze promienie porannego słońca. Usłyszał kroki stóp, które dochodziły z pierwszego piętra. Jego mama wyjątkowo wcześniej wstała i przyszła do kuchni. Ogromnie się zdziwiła widząc, leżącego i półnagiego syna.

Czemu tu się znalazłeś? - zapytała mama.

W nocy było tak gorąco, jakbyś stała w upalny dzień na słońcu przez kilka godzin - powiedział. - Masakra, nie wiem czemu tego nie odczułaś.

Pewnie dojrzewasz, bardziej się pocisz - odpowiedziała kobieta. - Mam do ciebie prośbę.

Jaką prośbę? - zapytał.

Chciałabym, żebyś o ósmej poszedł po moje zamówienie do Caroline, na rynek - powiedziała z uśmiechem.

- Mogę dziś na ciebie liczyć?

Tak, spacer dobrze mi robi - odpowiedział.

Spes ostatkami sił wszedł na górę i położył się na łóżku, rozmyślając o ostatniej nocy. Może rzeczywiście dojrzewał, to było całkiem racjonalne wytłumaczenie, dlaczego jego rodzice, nie odczuli tego gorąca. Postanowił przyswoić tę wiadomość, jednak coś, do końca nie pozwalało mu tego zrobić. Nie wiedział co i dlaczego go blokuje, ale przeczuwał, że może dziać się coś dziwnego... Jednak teraz najważniejszy był sen i odzyskanie energii. Nie zapomniał również o prośbie matki.

Gdy Spes obudził się z swojej drzemki, a zegar wybił ósmą, jak najszybciej się ubrał, umył zęby i wyruszył na rynek. Czuł się znacznie lepiej niż poprzednio, jednak nadal zaprzętał sobie myśli nocnym zdarzeniem. Mimo to pamiętał o prośbie jego matki i postanowił skupić na niej całą swoją uwagę. Droga przebiegała pomyślnie, bez większych przeszkód.

Był bardzo słoneczny dzień, na tyle, że większość ludzi miała na sobie dosyć lekkie ubrania. Na środku rynku tuż przy fontannie bawiła się grupka dzieci, które z uśmiechem na twarzy, polewały się rześką wodą. Spes uśmiechnął się i podszedł do nich, ochotczo ich witając. Wśród nich była córka Caroline – Esmera.

Cześć dzieciaki! - krzyknął radośnie Spes.

Spes! Spes! Spes! - wrzasnęły chórem dzieciaki.

Piękna dziś pogoda, prawda? - zapytał.

Tak! Nasze miasteczko jest cudowne, uwielbiam je! - odezwowało się jedno z dzieci.

Ja również! - odparł. - Esmero, mam pytanie. Gdzie znajdę twoją mamę?

Stoi przy ratuszu, wraz z innymi - odpowiedziała dziewczynka.

Dziękuję, a teraz wracajcie i bawcie się! - powiedział.

Spes ruszył w kierunku ratusza. Po zaledwie minucie znalazł się tuż przed drzwiami. Rzeczywiście zebrała się tu spora część miasteczka, rzadko kiedy tyle osób widzi się przed ratuszem. Może to jakaś wyjątkowa sytuacja, może nowa inwestycja? Spes odnalazł Caroline, przy której stała jej druga córka Lily. Chłopak postanowił wsłuchać się w rozmowę zebranych. Atmosfera wydawała się być nie najlepsza. Dorośli w tym dniu, wyglądali jak totalne przeciwieństwo radosnych dzieci. Ich wyraz twarzy był ponury. Czyżby coś poróżniło wspólnotę? Nie do końca dało się zrozumieć, co mówią, gdyż różne głosy nakładaly się na siebie. Burmistrz wyszedł z ratusza i przemówił.

Posłuchajcie mnie, bardzo mi przykro z powodu waszych dzieci - powiedział. - Staramy się dojść do rozwiązania, jednak wciąż brakuje nam szczegółów. Nasze kamery nic nie zarejestrowały, a straż niczego nie zauważyła.

Tylko tyle masz nam do powiedzenia? - zapytała jedna z kobiet. - Moją córkę ktoś porwał, a ty mówisz, że nie macie nic, co mogłoby pomóc ją odnaleźć. Kto wie, czy jeszcze żyje?!

Spokojnie, wiem, że to trudno zachować spokój w tej sytuacji, ale presja i gniew nic tu nie pomogą - odpowiedział burmistrz.

Proszę Pana, zniknęło pięcioro nastolatków jednej nocy, musicie działać - powiedział tutejszy sklepikarz.

Rozumiem i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by odnaleźć wasze dzieci - powiedział. - Nie pocznę, dopóki nie znajdę sprawcy. Wyślę patrol, na każdą dzielnicę, przeszukamy pobliskie lasy i góry.

Ufamy ci, nie zawieź nas - powiedziała Caroline. - Musimy ich znaleźć...

Spes stał, jakby doznał paraliżu. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Jego nogi drżały, a serce znacznie przyspieszyło. Odruchowo złapał Lily za rękę, która ją mocno ścisnęła. Tej nocy nie czuł się dobrze, co, jeśli to on mógł być ofiarą. Był wyczerpany, daleko by nie uciekł. Sytuacja wyglądała jak z horroru. Jednak pamiętał, dlaczego tu przybył.

Dzień dobry - powiedział chłopak. - Mama przysłała mnie po jej zamówienie, ale widzę, że coś niedobrego dzieje się w Vlaphis.

Och tak, zapomniałam - odpowiedziała kobieta. - Nie martw się tym, na pewno ich znajdą, wierzę w naszego burmistrza, a co do zamówienia, niestety, nie wzięłam z dom herbatki, którą chciała twoja mama. Może do nas przyjdiesz?

Jasne, czemu nie - odpowiedział chłopak.

Cała czwórka, bo oczywiście Esmera, nie mogła zostać sama, szczególnie w panującej aktualnie sytuacji, wyruszyła w stronę domu rodzinnego Caroline. Spes rozglądał się i przypatrywał się przechodniom, u których uśmiech zakrywał smutek. Kilka osób szło z spuszczoną głową, za rogiem ulicy płakały kobiety, prawdopodobnie matki zaginionych. Jednak szczególną uwagę Spesa przykuł starzec, który szczególnie wpatrywał się w chłopca. Jego wzrok był na tyle przenikliwy i skupiony na celu, że chłopak postanowił zatrzymać się i odłączyć się od grupy. Lily uprzedziła matkę i dołączyła do Spesa. Tak właśnie duet przyjaciół ruszył w kierunku starca, który jakby wyczekiwał ich nadejścia, patrzył na nich skupionym wzrokiem. Zbliżyli się znacznie do mężczyzny, który nagle odwrócił się i przestał obserwować chłopca. Zaintrygowany Spes przyspieszył tempa, aż w końcu był na wyciągnięcie ręki od starca.

Witaj - powiedział chłopak. - Odczułem twój wzrok, nie wiem kim jesteś, ale wydajesz się podejrzany, wiesz coś o zaginięciu nastolatków?

Przepraszam cię, mój drogi chłopcze - odpowiedział. - Pomyliłem cię z kimś, pochodzę z pobliskiego miasteczka, które niedługo zniknie z mapy.

Co Pana tu sprowadza? - zapytał. - Przepraszam, za mój brak manier, nie powinienem był tak agresywnie mówić. Proszę o wybaczenie...

Przybyłem sprawdzić, jak się wszyscy miewacie - odpowiedział. - Widzę, że dobry z ciebie chłopak, nie gniewam się, szkoda, że dziś spełni się przepowiednia...

Zaraz, zaraz jaka przepowiednia? - wtrąciła się Lily.

Nie znacie legendy o zbłąkanym wędrowcu? - odrzekł. - Opowiem wam ją, słuchajcie. Dawno, dawno, temu, kiedy wszystkie te otaczające drzewa, dopiero wypuszczały korzenie, pewna rodzina wiodła spokojne życie w górach. Jednak nie wszyscy byli w niej dobrze traktowani. Jeden z członków rodziny, był uznawany jako piąte koło u wozu. Gdy nadeszła zima, rodzina wyrzuciła chłopca z domu, tłumacząc, że nie ma wystarczająco jedzenia, by starczyło dla wszystkich. Zalamany błąkał się po górach i lasach, gdzie żywił się napotkaną zwierzyną i tym, co przyroda mu oferowała. Wytrzymał cały rok na własną rękę, jednak, gdy nadeszła kolejna zima, znacznie sroższa i mroźniejsza, chłopiec nie dawał sobie rady. Postanowił wrócić do rodzinnego domu, błagając o wpuszczenie do środka. Jednak, gdy tylko zbliżył się do progu, to ojciec popychał go z powrotem na zewnątrz. Po paru dniach, wycieńczony i zagłodzony chłopak umarł, przeklinając przed śmiercią swoją rodzinę. Zamienił się w zjawę, która błąkała się po górach z zalem do swoich krewnych. Z czasem zapominał o swoim człowieczeństwie i zamienił się w demona, który nieprzerwanie nęka pobliskie cywilizacje. Dokładnie co sto lat porywa nastolatków i syci się ich lękiem.

Da się to jakoś powstrzymać? - zapytał chłopak.

Podobno, ktoś mógłby w stanie zmienić los tego nieszczęsnego potwora, ktoś o kim mówi się Nieuchwytny - powiedział.

Kto to? - zapytała Lily.

Nikt tego nie wie - powiedział. - A teraz żegnajcie kochani. Wyruszam w dalszą podróż.

To, co usłyszeli, dosłownie wbiło ich w ziemię. Przerażeni, nie zamieniając ani jednego słowa, ruszyli w kierunku domu Lily, która kurczowo trzymała rękę swojego przyjaciela. Jeśli wszystko było prawdą, czekała ich najtrudniejsza noc w ich życiu, a jedyną nadzieją był Nieuchwytny, który mógłby ich uratować.

Gdy doszli już do celu, szybko wbiegli do środka. Chwilę później Lily zaprowadziła Spesa do swojego pokoju na piętrze. Oboje ciężko oddychając, położyli się na świeżo posłanym łóżku. Dziewczyna opowiedziała o wszystkim, co zdarzyło się w nocy. Dokładnie to samo przeżył Spes, który już wiedział, że nie chodzi o dojrzwianie, a naprawdę może być to wynik działania demona.

Spes i Lily wpatrywali się nieustannie w biały sufit. Gdyby tylko dało się zatrzymać bieg czasu, niestety, na ten moment nie było to możliwe. Co gorsza, mogło się wydawać, że godzina mijała znacznie szybciej niż poprzednio. Zegar wręcz pędził, a za oknem słońce schodziło coraz niżej. Paradoksalne w tym wszystkim jest to, że wszystko wydawało się takie realne...

Zbliżała się noc, latarnie na ulicy zaczęły świecić coraz jaśniej. Burmistrz, jak obiecał, tak zrobił, postawił straż i patrolował teren. Wszystko wyglądało bezpiecznie, jednak nie w przypadku, gdzie głównym antagonistą był demon. Caroline i mama Spesa, zgodziły się, by Spes mógł nocować u Lily. Było to bardzo ważne, by przechodzić przez to razem.

Zrobiło się bardzo gorąco, praktycznie w przeciągu chwili. Dokładnie to samo odczuwali pierwszej nocy Spes i Lily, jednak teraz uczucie gorąca było silniejsze. Prawdopodobnie to moc demona, która osłabia ofiary przed potencjalnym atakiem. Kurczowo trzymając się za ręce, zaczęli odczuwać znużenie, aż w końcu bezwiednie zemdleli.

Gdy minęło trochę czasu, Spes i Lily obudzili się w zupełnie innym miejscu. Dokładniej mówiąc, w ciemnej grocie, do której ledwie, co dochodziło światło księżycy. Po chwili ich ciała uniosły się w powietrzu.

Klękajcie przed swoim przeznaczeniem - powiedział złowrogi głos.

Nigdy! - krzyknęła Lily.

Pokaż się poczwaro - odezwał się Spes.

Po chwili ich ciała opadły na ziemię, a oni sami byli bardzo wyczerpani. Wokół nich było mnóstwo kamiennych posągów nastolatków, które budziły grozę w ich sercach. Demon jako pierwszy zwrócił się do Lily, której podniósł głowę i kazał spojrzeć prosto w oczy. Dziewczyna ujrzała w nim swoje największe lęki, po czym zamieniła się w kamień. Spes był zrozpaczony, chciał uratować swoją bratnią duszę. Mimo ogromnego strachu, sam podniósł głowę i spojrział w ślepią demona. Wyglądał jak mieszanina pyłu, a jego oczy były pokryte krwią, który później uformował się na podobieństwo lęku Spesa - przybrał postać chłopca. Nie rozumiem - powiedział demon. - Stoisz przede mną, przed panem lęku, nogi drżą Ci ze strachu, a Ty... Może i boje się ciebie, ale nie pozwolę ci ranić niewinnych ludzi, znam dokładnie twoją historię - odpowiedział.

Nie obchodzą mnie twoje słowa - odrzekł. - Twoim największym lękiem jesteś ty sam, boisz się, że nie podolasz, boisz się, że zawiedziesz... mimo to jesteś Nieuchwytny. Nadal w to nie wierzę...

Masz rację, tego najbardziej się boję, jednak mimo wszystko chcę ocalić innych, prawdziwa odwaga to zaakceptowanie strachu i zmierzenie się z nim twarzą w twarz - odrzekł chłopak. - Moje imię oznacza nadzieję, która również jest dla ciebie.

Chłopak podszedł do demona, cały czas utrzymując kontakt wzrokowy. Zmora stała jakby unieruchomiona. Gdy był na tyle blisko, Spes przytulił go z całej swojej siły i rzekł: Teraz jesteś wolny. Demon znikł, raz na zawsze, a dusza zbłąkanego wędrowca, mogła być od teraz wolna.

Posągi zamieniły się w ludzi, włącznie z Lily, o którą tak bardzo martwił się Spes. Wszystko wróciło do normy, chłopak otrzymał order bohatera Vlaphis, który powstał specjalnie na prośbę burmistrza. Nadzieja, wiara, miłość i troska wygrały z złem, które emanowało od demona. Spes okazał serce nawet duszy uwięzionej w demonicznej powloce. Stał się nieuchwytnym dla sił zła, poprzez swoją nieskazitelną duszę i czyste intencję. Nadzieja umiera ostatnia, a strach jest tylko i wyłącznie w naszych głowach i to od nas zależy, czy go poskromimy.

Od redakcji:

Wszystkie publikowane teksty to wersje autorskie, redakcja nie ingerowała w formę ani treść.

Kielce, 2022